



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr

5

JÓZEF PIŁSUDSKI

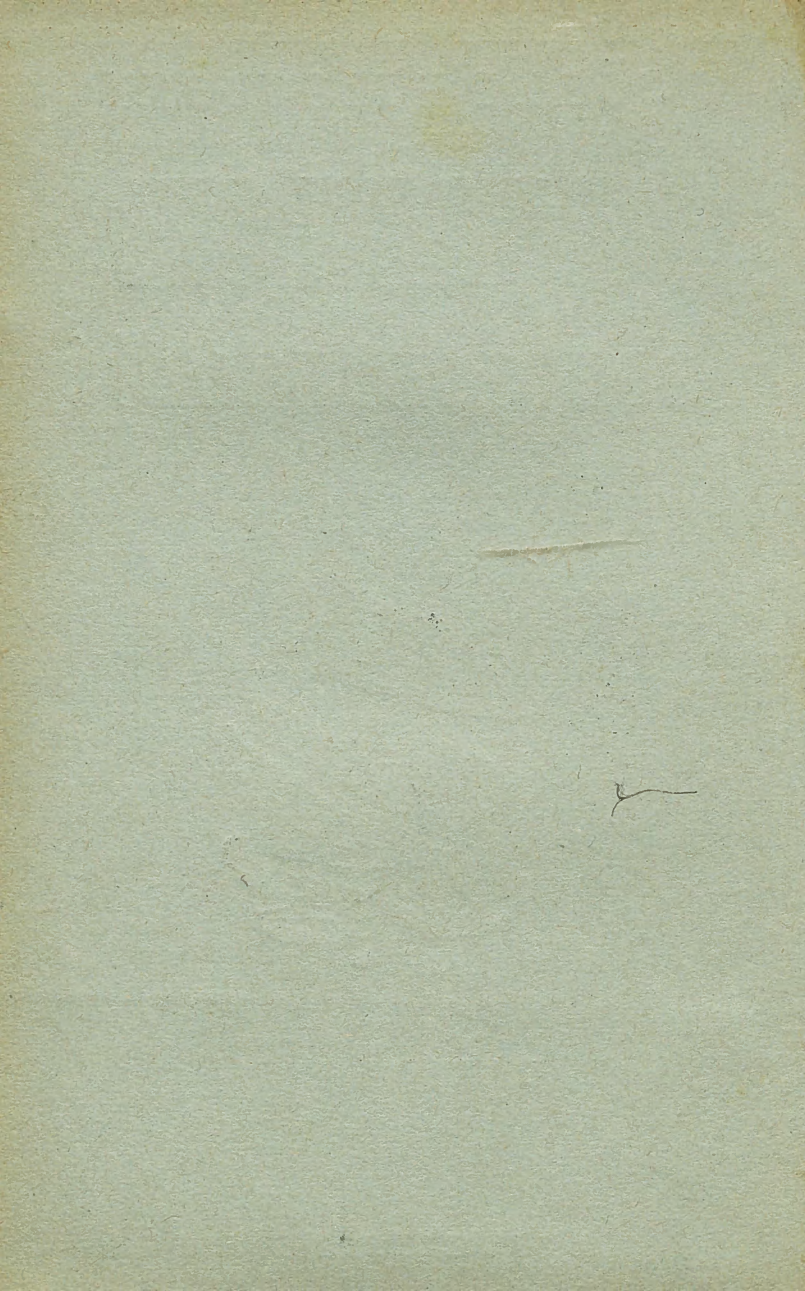
102. 1806

W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ



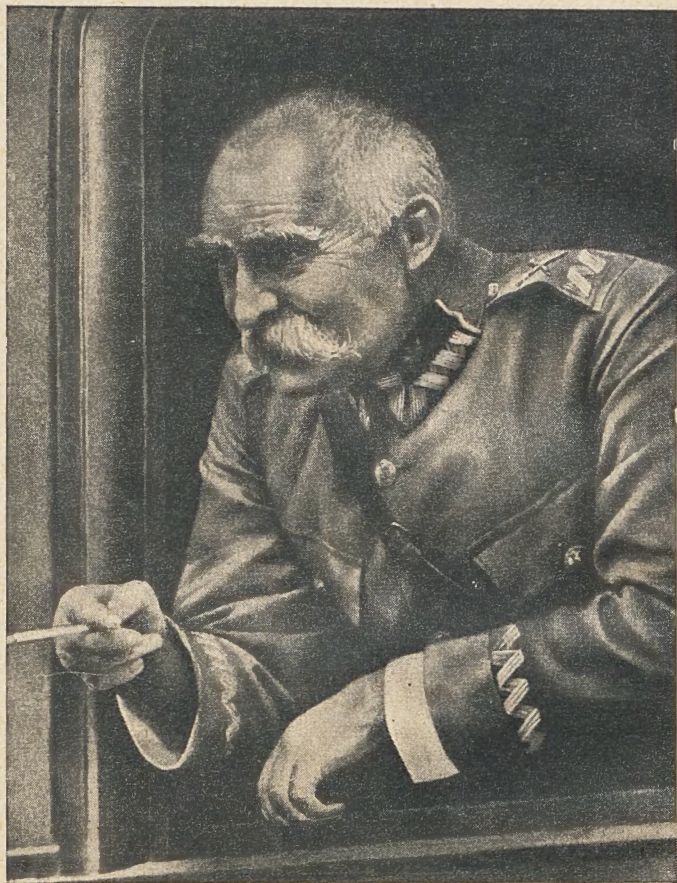
WYBÓR Z PISM

GEBETHNER I WOLFF



W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ





5

log. 1806

JÓZEF PIŁSUDSKI

W WALCE
O NIEPODLEGŁOŚĆ

WYBÓR Z PISM



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

Wybór niniejszy został zatwierdzony
przez Ministerstwo W. R. i O. P.
jako książka do lektury i bibliotek w szkołach
oraz do użytku oświaty pozaszkolnej

Okładka kompozycji
T. PIOTROWSKIEGO

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

1938

LEGIONY

Honor służby jest jak sztandar żołnierza, z którym żołnierz rozstaje się wraz z życiem.

PRZEMÓWIENIE

*dołączonych w Kompanię Kadrową Oddziałów
Związków i Drużyn Strzeleckich 3 sierpnia 1914 roku
w „Oleandrach” w Krakowie.*

.

II

Żołnierze!... Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie Ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeszym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarże¹⁾ uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było... Patrzę na was jako na kadry²⁾, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska, i pozdrawiam was jako pierwszą kadrową kompanię.

¹⁾ Szarża: Stopień wojskowy np. sierżant, podporucznik, major.

²⁾ Kadra: Zawiązek.

ULINA MAŁA ¹⁾

...Wreszcie zapada zmierzch. Patrole wróciły napę-
niając nasze obozowisko opowiadaniem o wrażeniach
z potyczek. Odmarsz. Kolumna się formuje, biorę
przewodników i marsz do Wolbromia! Droga jest
nużąca — błotnista, pełna jakichś jam i wybojów,
tym przykrzejszych, że jest ciemno. Kolumna wyciąga
się straszliwie, raz po raz trzeba się zatrzymywać,
żeby ją ściągnąć. Maszeruję, że tak powiem, w ob-
szarze wpływu nieprzyjacielskiego, muszę więc trzy-
mać w nocy cały oddział ściągnięty w garści. Wraz
z nadejściem ciemności bierze górę znużenie. Słyszę
za sobą apatyczne ²⁾ chlapanie błota, ciche przekleń-
stwa, nie czuję w kolumnie życia, tylko rezygnacyj-

¹⁾ W listopadzie 1914 roku, w związku z odwołaniem całej armii
austriackiej, wypadło się cofnąć i Legionom. Komendant Piłsud-
ski, który przebywał wówczas w Kieleckim, pragnął wycofać
się w okolice Krakowa. Jedyną drogą, jaką można się tam było
dostać, był korytarz czyli odstęp między ustępującą na szerokim
froncie armią austriacką a postępującą za nią armią rosyjską.
W ten niebezpieczny przesmyk wcisnął się Komendant z większą
częścią swych wojsk i niepostrzeżony przez jednych i przez dru-
gich przemknął się do fortecy krakowskiej. Droga prowadziła
przez Wolbrom i przez wieś Ulinę Małą, która to wieś nadała
nazwę całej tej wyprawie.

²⁾ apatyczne — ospałe, bez życia.

ne³⁾ zmęczenie. A przed nami jeszcze spory kawał drogi, jeśli mamy w marszu przez korytarz odpowiednio wykorzystać osłonę nocy.

Nareszcie zaczęły majaczyć w ciemności pierwsze chaty Wolbromia z mnóstwem zaplątanych płotów. Wchodzimy do miasteczka, przechodzimy przez nie i zatrzymuję kolumnę u wschodniego wyjścia. Ogłaszam, że daję godzinę wypoczynku. Jestem znowu prawie w tym samym miejscu, gdzie dnia poprzedniego powziąłem szaloną decyzję. Spotykam ułanów, patrol z Miechowa. Dowódca składa mi raport: nie spotkał nigdzie nieprzyjaciela, był o kilka wiorst od Miechowa, od ludności wie, że Miechów jest zajęty przez silny oddział ze wszystkich gatunków broni. Naprawiają mosty. W okolicy jakoby kręca się kozacy, lecz ich nie widział. Beliny⁴⁾ dotąd nie ma, jeszcze nie wrócił.

Więc i tu mój wymarzony korytarz istnieje. Trochę mi nie pasuje fakt, że w Miechowie już jest artyleria, więc osłona musi być gdzieś blisko od nas, ale pocieszam się, że mogą to być armaty przy konnicy. Zresztą główną drogę, gościniec Miechów—Wolbrom, porzucę jeszcze w nocy. Siedząc w ciepłej chałupie wybieram na mapie drogę i miejsce przyszłego odpoczynku. Jeszcze raz przeklinam brak lasów po drodze, mierzę przestrzeń i decyduję się na Buk dla krótszego odpoczynku, na Czaple Małe dla

³⁾ rezygnacja — poddanie się losowi.

⁴⁾ Władysław Belina Prażmowski, dowódca pierwszego pułku ułanów w brygadzie Legionów Piłsudskiego.

dłuższego postoju z obiadem. Tam zaczekam do wieczora i nocnym marszem wyjdę pod Kraków, może trochę na zachód od Krakowa. A teraz herbata i czekać na Belinę, ten przyniesie mi dane o linii austriackiej. O ile ta jeszcze istnieje — dodaję w myśli — gdyż może już armia w ciągu dnia była w ruchu na zachód i teraz rzeczywiście już jestem zupełnie samotny, znacznie bliżej do nieprzyjaciela niż do pierwszej ochronnej linii armii austriackiej.

Zresztą teraz, gdy już rozpoczęło się wykonywanie planu, odeszły mnie wszelkie wątpliwości. Myśl pracuje tylko nad możliwie dobrym wykonaniem zamiaru, nad możliwie największym uniknięciem strat. Wychodzę przed dom — zaczyna świecić księżyc. Po jednej i drugiej stronie ulicy przy ścianach szeregi ciał: żołnierze ze zmęczenia padali wprost w błoto i zasypiali natychmiast. Oficerowie, jak żurawie na straży, chodzą koło żołnierzy, gotowi w każdej chwili budzić śpiących. Upewniam się, czy spełniono mój rozkaz, aby na miasteczko wysyłano po sprawunki ludzi tylko pod komendą oficerów. Tak jest, jestem spokojny, nie rozpełźnie się moja gromada. Aha, wracają z tych poszukiwań! Rozlegają się śmiechy, z daleka czuję miły zapach świeżo upieczonego chleba.

Istotnie wszystkie patrole aprowizacyjne wracają ze śmiechem, obładowane chlebem, papierosami, nawet bułkami.

— Obywatelu Komendancie! — raportuje mi jeden ledwie wstrzymując się od śmiechu. — Dla Mo-

skali było przygotowane — a my zjemy. Byli tu kozacy, uprzedzali, że przyjdą, kazali napiec chleba. Jeszcze dużo zostało, nie mogliśmy wszystkiego zabrać.

Komendanci batalionów proszą, bym pozwolił zabrać wszystko — rozdadzą ludziom, wezmą resztę na kuchnię. O chleb jest trudno dosyć, a ten „moskiewski” tak doskonale pachnie. Pozwalam, bo zresztą Beliny wciąż nie ma. Wszystko jedno, trzeba czekać!

.

Godzina, wyznaczona dla odpoczynku, minęła, a Beliny wciąż nie ma. Niecierpliwie się, lecz czekam. Nie chcę go pozostawić w niepewności, co ma robić, gdy tu do Wolbromia nadejdzie. A czas upływa, czas tak drogi dla mnie w tej operacji. Decyduję się czekać tylko do wpół do jedenastej — jeszcze pół godziny. Zresztą zostawię mu patrol ułański.

Wreszcie i ten czas minął. Daję rozkaz formowania kolumny. Radzą mi wziąć przewodnika. Nie chcę — jutro rano muszą tu już być kozacy, nie chcę pozostawiać za sobą śladów, zresztą księżyc już jest na niebie, a pierwsza część drogi taka wyraźna — duży, szeroki gościniec do Miechowa.

Wreszcie wszystko gotowe — wymaszerowujemy. Wysuwam się ze sztabem na szpicę⁵⁾, nikt bowiem poza nami kilku w sztabie nie wie właściwie, dokąd

⁵⁾ Szpica — drobny oddziałek paru ludzi, idący na czele kolumny wojsk, wysunięty jeszcze przed straż przednią.

i po co idziemy. Gdy wyjeżdżam na czoło kolumny i mijam kolumnę, słyszę zdziwione szepty: „Do Michowa!“. Czuję, że w ludziach sen mija tak, jak i u mnie, wiedzą, że się rozpoczyna jakaś niesłychana awantura — oddalamy się coraz bardziej od austriackiej armii, maszerujemy w kierunku Moskali.

Czy jest większa rozkosz dla żołnierza jak marsz w kierunku nieprzyjaciela? Wszystko jest niewidomym i pełnym tajemnic, wszystko pełnym groźby i niespodzianek. Szarzejąca grupa drzew, łagodny pagórek, romantyczna zagroda — wszystko stanowi przedmiot zagadek i łamigłówek. Co prawda, marsz nasz jest wyjątkowym. Oderwany oddziałek, mucha wobec ogromu słońca, ku któremu posuwaliśmy się rażnym krokiem, mucha bez żadnego oparcia i pomocy znikąd. Lecz tym silniejsze i ostrzejsze były wrażenia. Będąc dowódcą większego oddziału nie pracowałem ⁶⁾ z natury rzeczy nigdy na czele oddziału jako pierwsza macka ⁷⁾, badająca przestrzeń.

.
Idziemy szeroką drogą, wyjeżdżoną wczoraj przez cofające się wozy i artylerię. Żeby cofać się prędzej, wytarto na otaczających polach nowe drogi, które to się zlewają w jedną, to znowu rozchodzą się dla objazdu jakiejś przypadkowej przeszkody, która się

⁶⁾ ...nie pracowałem... nigdy na czele... — Jako komendant większej całości nie miał Piłsudski okazji do bezpośredniego wypełniania szczegółowych zadań, jakim jest marsz ubezpieczony, czyli odbywający się w bliskim sąsiedztwie nieprzyjaciela.

⁷⁾ Macki — podługowate wyrostki ciała, uposażone w narządy czuciowe, dopomagające zwierzęciu do badania przestrzeni.

podczas marszu nadarzyła. Na prawo od nas z dala bucha ogromem światła jakaś fabryka. Wśród ogólnej ciszy i ciemności te snopy światła, świadczące o życiu ludzkim, świecą mi jakoś bezczelnie i złowrogo. Mam dosyć powodów do unikania teraz światła i wzroku ludzkiego, więc bezwiednie, instynktownie przy każdym spotkaniem objeździe biorę się na lewo, dalej od fabryki. Za sobą słyszę równomierny tupot piechoty. Cicho w szeregach, odczuwam jednak nie martwą ciszę zmęczenia, lecz napiętą, rozbudzoną ciszę ciekawości i gotowania się do walki.

Wkrótce przeciąć musimy tor kolejowy, potem zaraz wchodzimy w las, a potem... potem owa zagroda, przy której skręcamy na południe, w kierunku Krakowa. Jeśli prawdą jest, że Miechów jest zajęty przez silniejszy oddział, to tam może stać już jakaś placówka. Tam więc otrzymam pierwsze dane dla sądu, jak jest z moim korytarzem. Maszerujemy już sporo czasu — sprawdzam — już więcej niż pół godziny — prawie trzy kwadranse, a dotąd toru kolejowego nie ma. Idziemy dalej, zaczynam się niepokoić. Co u licha ciężkiego!

— Szeffie! Czy nie spostrzegacie, że idziemy jakąś błędną drogą? — mówię do Sosnkowskiego. — Dawno powinniśmy byli przejść przez tor kolejowy!

— Już od dłuższego czasu o tym myślę — odpowiada Sosnkowski — ale może to jakiś większy tylko objazd.

Niepokój wzrasta. Przy pierwszym kroku niepowodzenie.

— Czegoś był zanedbano ostrożny — robię sobie wyrzut — trzeba było wziąć przewodnika!

Oglądam się dokoła. Wszędzie trochę pofalowana równina, ani śladu jakiegoś domostwa, tylko w prawo za nami złowrogo błyszczą ślepie fabryki. Wreszcie mającżeje przed nami skraj lasu. Decyduję za-
trzymać się w lesie i zorientować się w położeniu. W każdym razie wiem, że nasza istotna droga jest od nas na prawo i za torem kolejowym. Łatwo będzie ją odnaleźć. Zmarnujemy tylko znowu sporo czasu.

Podchodzimy do lasu i trochę dalej rozlega się szczekanie psa, więc jakieś osiedle. Zatrzymuję kolumnę i z kilku oficerami idziemy do chaty. Pies ujadawściekle, szturmujemy do drzwi i do okien. Po długich pertraktacjach wychodzi młody chłopak, ogląda nas ze zdumieniem i z pewnym wahaniem odpowiada na pytania.

Istotnie zbłądziliśmy. Poszliśmy drogą na stację Miechów, więc w kierunku północno-zachodnim. Na nasz gościniec wyjść można bez wozów nawet względnie blisko, ale z wozami trzeba wracać na przejazd kolejowy. Tak, niedaleko, jakaś wiorsta lub półtorej. Z chaty już powyłaziły jakieś baby. Zaczyna się tłumaczenie drogi, jak zwykle bardzo zawiłe, kręcące się koło przedmiotów, doskonale im znanych, lecz dla nas będących jakimś X-em⁸⁾.

Ten błąd przy pierwszym kroku, to zawracanie znowu w stronę Wolbromia, robi jakąś atmosferę znie-

⁸⁾ będących jakimś X-em — będących czymś niewiadomym.

chęcenia i niepowodzenia. Może niesłusznie, lecz odczułem ją, jakby idącą od mego otoczenia. Zbieram do garści nerwy.

— Chłopcze, poprowadzisz nas do drogi na Miechów, zbieraj się, idziemy zaraz!

Baby w płacz, matka chłopca rzuca mi się do nóg, obiecuje prowadzić sama. Chłopiec targuje się z nią. Nie znoszę tych scen, tych niepotrzebnych męczarni ludności bezbronnej, nie wojującej. Jestem, zdaje się, za mało bezwzględny.

Śmigły przerywa dyskusję, woła paru żołnierzy i ci przystępują do chłopca. Baba zrozpaczona oświadcza, że i ona pójdzie razem i jeszcze raz prosi, by nie potrzebowali prowadzić nas dalej jak tylko do drogi. Dalej do Miechowa trafimy sami, drogą tam szeroka i idzie wciąż lasem.

Ruszamy i wykręcamy na jakąś boczną drogę, przez jakiś przeklęty rów, gdzie kuchnie dudnią od przeżenienia, a wszyscy woźnice i kucharze klną, co się zmieści. Idziemy z powrotem i przeklętą fabrykę mamy znowu przed oczami. Ha, nareszcie budka kolejowa! Koło kolei, jak wierne straże, biegną słupy telegraficzne z poodcinanymi drutami, które żałośnie jęczą pod stopami naszymi i kopytami koni. Jeszcze trochę i jesteśmy na naszej drodze. Patrzę na zegarek i obliczam. Straciliśmy minimalnie licząc dobrych dwie i pół godziny! Nie dopuszczam do siebie pesymizmu⁹⁾, klepię po szyi kasztankę mrucząc:

⁹⁾ pesymizm — skłonność do czarnych przewidywań.

— No, dzisiaj ty swych Czapel Małych nie zobaczysz!

Kasztanka stamtąd pochodzi i ciekaw byłem, jak się będzie zachowywała, gdy po tylu wędrówkach, niespodziewanych dla wiejskiej, rozpieszczonej klaczy, ujrzy rodzime pola i zagrody.

Maszerujemy lasem; pali mnie ciekawość co spotkamy przy zagrodzie na skrócie naszym z wielkiej drogi na południe. Wreszcie mającej i zabudowania. Wstrzymuję kolumnę i chcę jechać. Lecz na cuglach spoczęła ręka Śmigłego.

— Komendancie! Nie wolno! Ja prowadzę awangardę, to mój obowiązek. Proszę zaczekać!

Kochany Śmigły! Kiwam głową na znak zgody i zostaję przy kolumnie.

.

Po chwili raport: „Droga wolna, pusto, nikogo nie ma”. Gotów jestem skakać z radości. Korytarz jest i tutaj! Ba, w tym miejscu nawet jakby szerszy niż w kierunku Żarnowca. Więc prawdopodobnie istotnie front austriacki idzie w kierunku południowo-wschodnim. Skracamy w las i boczną drogą, dosyć stromo idącą, wdzieramy się powoli na pagórek. Trzeba dać odpoczynek, trzeba ściągnąć kolumnę.

Korzystam z okazji i przed wyjściem z lasu raz jeszcze oglądam mapę oraz robię obliczenia.

Jest trzecia czterdzieści, za dwie godziny świt będzie dobry, trzeba będzie ludziom dać przyzwoitszy

wypoczynek, bo gdyby nawet optymistycznie ¹⁰⁾ obliczać mój korytarz, jednak trzeba rachować na porytchki z kawalerią. Muszę mieć ludzi choć trochę wypoczętych. Z tak zmęczonymi ludźmi nie przejdę więcej w te dwie godziny jak sześć kilometrów, może siedem. Mierzę na mapie: nie, do Czapel nie dociągnę. A jednak byłoby to tak dobrze! Jest dwór i to duży, można byłoby go zająć, tak by wszystko było i pod dachem, i w kupie. I taki kawał drogi już mielibyśmy za sobą! Może się dowlec tam z odpoczynkami? Jeszcze jeden rzut oka na mapę! Przyciąga mój wzrok zielona plama w pobliżu — jedyny las w tej okolicy. Ulina Mała! Lubię lasy! Ukrycie dla słabego! Kto wie? Decyduję! Jako cel — Czaple, nie uda się — Ulina Mała.

Idziemy dalej. Błoto na drodze ciężkie. Konie i ludzie strasznie strudzeni, więc wleczeni się ospale. Oglądam okolicę przy zbliżającym się pochmurnym świetle. Jesteśmy wciąż na zboczu, łatwo dostrzegalni z traktu Miechów-Wolbrom, który się wiję białą taśmą na dole. Kręta, wąska drożyna, którą maszerujemy, wchodzi do Buka; początki tej wsi są już widoczne. Dobrze byłoby dać się ludziom we wsi zatrzymać trochę; znajdzie się pewno tam mleko, a zresztą chociażby woda. Lecz już jest dzień, a każda boczna osłona ¹¹⁾ oddziałów, maszerujących po gościńcu, mu-

¹⁰⁾ optymizm — przeciwieństwo do pesymizmu — skłonność przewidywania wszystkiego na różowo.

¹¹⁾ boczna osłona — oddziały posuwające się równolegle do maszerującej kolumny wojska, po obu jej bokach, strzegące jej przed niespodziewanym atakiem bocznym.

siałaby o Buk zawadzić. Więc lepiej nie — wlec się trzeba dalej. Wyjeżdżam naprzód do wsi: teren ku południowi opada, widać z dala wieś, ciągnącą się od wschodu do zachodu, za nią ciemna ściana lasu i zarośli. Wschodni skraj wsi jeszcze jest na górze, przez lornetkę widzę, że jest to coś w rodzaju folwarku. To Ulina Mała!

Wyjeżdżam w opłotki wsi. Ludziska już powstawali, oglądają ze zdziwieniem „Austryjoków”, kiedy według, słusznych zresztą, ich obrachowań, nie powinni by oni znajdować się teraz w tym miejscu. Dzieci z ciekawością wyglądają spoza węglów chat, psy ujadają. Prawie w środku wsi widzę jak kobieta jakaś, otoczona dziećmi, z chwilą, gdy nas zobaczyła, zakryła oczy rękami, przysiadła na przyźbie i zalewa się rzewnymi łzami. Przy niej stoi stary dziad filozoficznie pykając z fajki. Po zbliżeniu się do tej grupy, zsiadam z konia. Interesuje mnie ta nagła rozpacz kobieciny, a zresztą muszę zasięgnąć trochę języka.

— Czego, kobieto, płaczecie? — mówię do niej. — Uspokójcie się! Nic się wam nie stanie!

Zadnej odpowiedzi, tylko płacz jeszcze silniejszy. Dzieci chowają się za spódnicę matki i stamtąd wysyłają ku mnie na pół przerażone, na pół rozciekawione spojrzenia swych chabrowych oczek. Zwracam się do dziada z tym samym zapytaniem. Dziad milczy i filozoficznie s pluwa. Proszę o wodę. Przez łzy kobieta każe starszemu chłopakowi przynieść wody, ba,

proponuje mleko, lecz rozpacz jej się nie zmniejsza. Pytam o miejscowość.

— Czy to Ulina Mała tam, w dole?

— Ulina, panie, Ulina!... — odpowiada z płaczem.

Przynoszą mi wodę i mleko. Kolumna zbliża się ku mnie. Daję rozkaz maszerowania dalej, bez zatrzymywania się w Buku. Patrząc na ludzi. U chłopców strasznie pomęczone twarze, jakieś szaro-ziemiste, oczy podkrążone patrzą na mnie z niemą, błagalną prośbą. Uspokajam ich mówiąc, że wkrótce odpoczną, i wracam do grupy przed chatą. Kobieta wciąż płacze, daję jej spokój i pijąc mleko wszczynam rozmowę z dziadem.

— Moskale jeszcze u was nie byli? — pytam dziada.

— A jakże, panie, byli! — odpowiada. — Wczoraj po południu byli kozacy. Byli u nas, byli ot tam, w Ulinie Dużej. Byli!

Powoli dowiaduję się, że był tu znaczniejszy patrol, kręcił się po całej okolicy i... poszedł dalej na zachód. Nie chce mi się wierzyć, pytam raz jeszcze, nastaje i nie wiem, czy pod wpływem mojej natarczywości, czy innego powodu dziad zgadza się z moimi wewnętrznymi chęciami, że kozacy wrócili w stronę Miechowa.

Nie dowiedziałem się z jakiej racji płakała baba, która wdzięcznie zresztą spojrzała na mnie, gdy po głaskał jej dzieci i spytał się o ich imiona. Czy kobieta bała się, że tu, w cichym Buku, rozpoczną się boje i jej rodzima chata padnie ofiarą na ołtarzu

Molocha ¹²⁾ — wojny, czy strach o dzieci łąy jej wyciskał, czy wreszcie łąy lała z powodu nas, żołnierzy — nie wiem. Nie pytałem dalej, bo gadania dziada o kozakach rzuciły moje myśli w inną stronę...

¹²⁾ Moloch — bóstwo starożytnych narodów wschodnich, któremu składano ofiary z ludzi.

NOWY KORCZYN — OPATOWIEC

.

Czytam mapy wojenne inaczej może niż wojskowi. Czytam je jako wojskowy bardzo szybko, chwytając prawie w jednej chwili najważniejsze szczegóły, na których opieram swój sąd o działaniach wojskowych. Lecz muszę zawsze domieszać do swego przemyślenia terenu różne rzeczy, które są całkiem obce wojnie. Tak więc i tutaj. Trafiłem na zabawny odcinek. Opowiadano mi, że w Winiarach był Kościuszko i że lubił siedzieć tam oglądając widok przeciwnego brzegu Wisły. Jest jakoby we dworze w Czarkowej altana z kamiennym stołem, przechowywanym jako pamiątka po Naczelniku, który tam także bawił i przy tym stole siadywał. Wydaje mi się to legendą, gdyż nie umiem z danych historycznych, które posiadam, łączyć postaci Kościuszki z Winiarami czy Czarkową... A jednak jest przyjemnie myśleć o tym, że gdy zagrzmią tu strzeleckie strzały, Kościuszko-Naczelnik patrzy na nas z najwyższego punktu — z Winiar. Śmieszny drobiazg, a jednak miły!

Albo znowu te rzeki! Jestem u zbiegu trzech pol-

skich rzek: Wisły, Dunajca i Nidy. Wszędzie stają w moim zadaniu na przeszkodzie biegnąc zresztą z różnych stron. A jakie różne te rzeki! Wisła jak Wisła. Wisielka o zwyczajnym prądzie. Dunajec rwie i pędzi z gór, wlatuje do Wisły chcąc jakby złamać i zniszczyć jej szare życie, czyniąc je żywym i barwnym. Od północy sprzeciwia się temu leniwa, błotna druhna Wisły — Nida.

.

Właśnie byłem zajęty bardzo i bardzo ofensywnym planem. Doszły do mnie wiadomości, że w Busku stoi sztab dywizji kawalerii. Nie wiem czy słuszne były te dane, ale zdecydowałem w nocy uderzyć na Busk. Był to projekt bardzo śmiały, bardzo ofensywny, lecz, zdaniem moim, zupełnie wykonalny, gdyby... gdyby właśnie nie owe techniczne przeszkody, które na każdym kroku się piętrzyły. Dla przygotowania tego planu kazałem przerzucić do Nowego Korczyna jeszcze jeden batalion, czwarty, z poleceniem zajęcia najbliższych wsi na północ od Korczyna i zrobienia wywiadu w kierunku Buska. Belinie poleciłem dotrzeć do Wiślicy i zerwać tam most. W tym ostatnim zadaniu szło mi o ściągnięcie uwagi Buska w tamtą stronę i postawienie jakich takich przeszkód nieprzyjacielowi na wypadek, gdyby chciał przejść przez Nidę i zająć mi skrzydło, a nawet tyły, w czasie wyprawy na Busk. Operacja ta doprowadziła do krótkiego boju na północy od Korczyna.

Nieprzyjaciel ukazał się z prawego skrzydła. Szedł od Solca — od wschodu. Bój rozstrzygnął się wieczorem na naszą korzyść. III batalion — z początku jego prawa osłona — wytrwał przez pewien czas w ogniu karabinów maszynowych, potem wyprowadziwszy rezerwy do boju wyparł nieprzyjaciela z lasu i zmusił do cofnięcia się w kierunku Solca. Pod wieczór zaczęła strzelać artyleria nieprzyjacielska, również od wschodu. Działała ona nie w kierunku naszym; pociski swe posyłała w kierunku Bolesławia. Stało tam parę armat 7. dywizji kawalerii austriackiej i właśnie pomiędzy tymi dwoma oddziałami artylerii prowadzona była rozmowa. Przy końcu boju z daleka doleciał nas odgłos dwóch głuchych wybuchów — to Belina wyparłszy kozaków z Wiślicy niszczył most na Nidzie. Zaraz prawie potem zamilkły karabiny maszynowe w lesie na północy od Korczyna — nieprzyjaciel cofał się. Kto wie, czy wrażenie wybuchu — podobnym on był do odgłosu cięższej artylerii — nie przyczyniło się do urwania boju.

Gdy tylko rozległy się pierwsze strzały po tamtej stronie Wisły, pierwszą moją myślą było kazać osiodłać kasztankę i jechać do Korczyna, lecz wstrzymałem się, zostałem w Kozłowie i korzystając z telefonu do Korczyna mogłem być *au courant*¹⁾ tego, co się dzieje za Wisłą. Muszę przyznać, że wiele kosztowała mnie ta decyzja. Przekonałem jednak siebie, że tutaj, gdzie mam pod bokiem wszystkie swoje rezer-

¹⁾ być *au courant* — być w toku wypadków, wiedzieć wciąż, co się dzieje.

wy²⁾) i resursy, będą korzystniejszym dla wojska. Było mi jednak ciężko siedzieć z dala od bitwy i kierować się wrażeniami słuchowymi, nie oczyma. Znacznie szczęśliwsi byli dowódcy wojenni dawniej, gdy okiem ogarnąć mogli cały plac boju i widzieć bezpośrednio jego perypetie³⁾). Przypominam sobie przykrą chwilę, gdy zatrajkotały karabiny maszynowe. Wiedziałem, że my tej broni nie posiadamy, i jakieś złe myśli o przewadze technicznej nieprzyjaciela zaczęły mi krążyć po głowie. Jestem przekonany, że takie same myśli przychodziły do głowy i tam, na samym placu boju. Nie może to nie wpływać na stan moralny wojska. Cóż dopiero, gdy zagrały armaty! Zdaje się, takie właśnie przekonanie o wyższości Moskali nad nami mieli podczas boju i wszyscy inni, którzy słyszeli jego odgłos, zatem mieszkańcy obu brzegów Wisły oraz Austriacy.

.

Toteż gdy nieprzyjaciel się cofnął, znaczenie nasze poszło ogromnie w górę. Już wieczorem tego dnia opowiadano, że Moskałom zadałem ogromną klęskę. Od wojskowych słyszałem powinszowania z powodu pobicia dywizji rosyjskiej. Po drodze do Krakowa dywizja ta urosła do dwóch — i w tydzień potem, gdy był w Krakowie, pytano mnie serio o szczegóły tego poważnego boju, w którym rozbiłem w puch całe dwie dywizje rosyjskie.

²⁾ rezerwy = resursy — zapasy — w tym wypadku zapasowe wojsko.

³⁾ perypetie — powikłany rozwój wypadków.

LIMANOWA — MARCINKOWICE

.

Nasz pierwszy występ na nowym teatrze¹⁾ wojny miał być tryumfem, który na długo zapewnił nam szacunek otoczenia. Rzecz się tak miała.

Wraz z wcześniej zapadającym wieczorem chwytał mróz coraz silniejszy. Kawaleria mając konie lekko podkute posuwała się bardzo powoli po śliskiej do niemożliwości szosie. Patrol jeden skierowałem na Nowy Targ wobec dzikich pogłosek, że tam jakoby mają być Moskale. Gdym przyjechał do Mszany Dolnej, piechota moja już dawno stamtąd ruszyła do Dobrej, popędzana mrozem. W Mszanej dowiedziałem się, że w Dobrej stoi już część 6. dywizji kawalerii austriackiej, lecz gdzie są generałowie 6. i 2. dy-

¹⁾ Nowy teatr wojny — Komendant Piłsudski po marszu przez Ulinę Małą nie zatrzymał się dłużej w Krakowie, ale ruszył na południe, w stronę Podhala. Tam w okolicach Limanowej i Nowego Sącza rozgorzały wówczas walki z nacierającą, zwycięską zdawało się, armią rosyjską. Legiony walczyły tam z dużym powodzeniem, przyczyniając się wydatnie do wzmocnienia na tym odcinku zniechęconej, bliskiej ostatecznego rozbitcia, armii austriackiej.

wizji, u których miałem się meldować, nikt mi tego wyjaśnić nie był w stanie.

.

Wojsko stało na mrozie nie wiedząc co czynić. Miałem kwaterować w Dobrej, lecz kwatermistrze już stamtąd wrócili zapewniając, że cała wieś jest zajęta i chyba gwałtem da się jakąś część oddziału wcisnąć. Wiedziałem z góry z doświadczeń z I korpusem co to znaczy! Grubiańskie kłótnie o każdą chatę, obojętny albo wręcz wrogi stosunek w tych wypadkach władzy. Do tego w tej chwili musiałbym mieć do czynienia z kawalerią, która mając konie rozkwaterowuje się szeroko. — Dziękuję za taką przyjemność! — pomyślałem.

Wszedłem do karczmy, aby się rozmówić z oficerami i na mapie rozejrzeć się jak zaradzić złemu. Nie mogliśmy przecież stać całą noc na mrozie, który dochodził do 20 stopni, od górskich zaś dolin szedł zimny, przenikliwy ciąg, co jeszcze bardziej powiększało chłód. Chłopcy rozpalili ogień i gwałtownie tupali nogami, skakali, uderzali rękami o biodra na rozgrzewkę.

W karczmie było pełno ludzi, duszno i gwarno. Górale, żołnierze, oficerowie, wszystko to paliło, rozprawiało, wchodziło i wychodziło. Od razu dowiedziałem się, że Jurków nie jest przez wojsko zajęty, dalej że w Chyżówkach pokazali się dzisiaj pod wieczór Moskale. O sile ich nikt nie mógł mnie dokładnie poin-

formować, ale z ogółu danych wywnioskowałem, że ilość ich jest względnie niewielka.

.

Zdecydowałem więc od razu, że V i I bataliony rozlokują się w Jurkowie, III i II²⁾ w Chyżówkach. Uprzedziłem obu dowódców batalionów, by byli ostrożnymi i idąc do Chyżówek wzięli z sobą przewodników miejscowych, a Śmigłemu, doganiającemu swój batalion, wypowiedziałem swoje przeczucia, że o nocleg będzie musiał pewnie walczyć z Moskalami.

Istotnie. Okazało się, że w Chyżówkach nocuje cały szwadron ułański. Ułani rosyjscy źle pełnili służbę forpocztową³⁾; moi chłopcy, prowadzeni przez górali, bardzo zręcznie obstawili wieś, tak że w nocy wzięto do niewoli cały szwadron z pięcioma oficerami. Straty nasze tej nocy były minimalne — jeden żołnierz zabity, drugi ranny, dziwnym trafem dwaj bracia. Ułani rosyjscy też mieli strat mało, coś kilku zabitych i rannych. Zaskoczeni znienacka, po bardzo krótkim oporze gromadnie się poddali. Uciekło tylko zaledwie kilkunastu żołnierzy i dwóch oficerów; jednego z nich zresztą w dwa dni potem ujęto.

²⁾ Batalion II wrócił świeżo z nadzwyczaj nużącej eskapady z 79. dywizją jazdy austriackiej pod Modlin i Warszawę. Miał tak małe liczebnie stany i tak był przemęczony, że go odesłał po Chyżówkach jak najprędzej jako chorych do Nowego Targu, gdzie i sam spodziewałem się wkrótce znaleźć. (Przyp. aut.).

³⁾ Służba forpocztowa — ubezpieczenie się wojska na postojach przez wystawianie placówek i wart.

Przy ówczesnym nerwowym nastroju tego frontu sukces nasz był tryumfem nie lada, zwłaszcza że wypadki wzięcia do niewoli całych jednostek¹⁾ jazdy zdarzają się w ogóle rzadko, a dokonaliśmy tego właśnie na oczach korpusu kawalerii. Tryumf nasz był tym większy, że — jak się okazało z badań jeńców — szwadron ten był specjalnie dobrany z całego pułku ułanów rosyjskich. Dano mu najlepsze konie, względnie dużą liczbę oficerów, wreszcie doborowy materiał ludzki.

.

Nie brałem osobistego, bezpośredniego udziału w tym epizodzie zagarnięcia szwadronu do niewoli.

.

Utkwił mi w pamięci jeden szczegół tej akcji, gdyż był przedmiotem rozlicznych rozmów moich żołnierzy i oficerów. Jeden z oficerów rosyjskich, zaskoczony znienacka u progu swej kwatery, poddał się, lecz nie został przez chłopców ani zrewidowany, ani odprowadzony do miejsca zbiórki jeńców. Gdy inni żołnierze nadeszli, wyjął rewolwer i strzelił kilka razy do napadających. Jednego z nich zabił, drugiego ranił — byli to owi dwaj bracia, o których mówiąc o stratach już wspomniałem — i korzystając z ciem-

¹⁾ Jednostka jazdy — zorganizowany oddział jazdy — pluton, szwadron, dywizjon, pułk...

ności uciekł z innym oficerem, pomimo, że posypały się za nim gęsto kule. Żołnierze idąc przy świetle za śladami po śniegu znaleźli obu w jakimś górskim wąwozie, z którego jeden z uciekających — otyły sztabśrotmistrz — nie mógł się wydostać. Niektórzy żołnierze prosili mnie, abym kazał rozstrzelać oficera, który zabił ich kolegę, gdyż użył on broni już po poddaniu się. Naturalnie, ani przez głowę nie przeszła mi myśl podobna, gdyż każdy z nas postąpiłby tak samo wykorzystując gapiostwo jednych, którzy oficera, nie odebrawszy mu broni, zostawili bez opieki, i brak sprytu drugich, którzy jeńca z rąk wypuścili. Ba, każdy właściwie musiałby pochwalić takiego oficera za mężne zachowanie się wobec przemocy nieprzyjacielskiej i za próbę połączenia się ze swoimi, gdy dokoła inni jego koledzy masowo się poddawali.

Gdym stanął rano kwaterą na plebanii w Jurkowie, miałem od razu mnóstwo roboty. Naprzód musiałem zbadać jeńców. Wśród nich była spora garstka Polaków, którzy chętnie rozwiązywali języki w otoczeniu rodaków. Zresztą nie potrzebowałem się uciekać do ich patriotycznych uczuć, żołnierz bowiem rosyjski w ogóle rzadko nie mówi prawdy będąc pytany przy badaniu. Jest w nim jakby bezwiedne posłuszeństwo dla każdej danej władzy, a gdy się do niego mówi jego własnym językiem i formułami wojskowymi, do których jego ucho jest przyzwyczajone, zapomina on o tym, że nie mówi przed własną komendą. Najczęściej jednak żołnierze rosyjscy mało są rozgarnięci i niewiele interesują się sprawami wojny, tak że bar-

dzo mało można się od nich dowiedzieć poza ciasnym kołem ich wiadomości o własnym pułku czy batalionie.

Po Chyżówkach nie potrzebowałem się meldować u swoich generałów. Ciekawość ich paliła. Już rano przyjechał do mnie komendant dywizji 6. Tego brała trochę zazdrość. Jego oficer sztabu chciał nawet część zasługi wzięcia szwadronu do niewoli przypisać swojej dywizji, powołując się na raport jakiegoś patrolu austriackiego, nadeszły jakoby do Dobrej, a mówiący o tym, że nieprzyjaciół znajduje się w Chyżówkach. Oficer ten chciał wmówić we mnie, że od tego patrolu dowiedziałem się jakoby o Moskalach i dlatego właśnie skierowałem swój batalion do Chyżówek. Zaprzeczyłem temu najstaranniej. Wysłałem swe oddziały do Chyżówek jedynie dlatego, że wydawało mi się rzeczą nieco nieostrożną nocować spokojnie w Dobrej bez zabezpieczenia się od równolegle biegnącej górami drogi, prowadzącej od Limanowej przez Chyżówki do Jurkowa. Co prawda, była to dzika górská droga, ale jednak, jak się okazało, możliwa nawet dla kawalerii. Zaraz potem zjawił się u mnie generał Nagy, dowódca całego frontu pod Limanową. Powinszował mi powodzenia i zaczął rozpytywać o stan wojska. Okazał się człowiekiem bardzo miłym i, co rzadko dotąd spotykałem, zupełnie nieuprzedzonym do takiej formacji ⁵⁾ jak Legiony. Bar-

⁵⁾ Formacja — grupa wojska.

dzo być może, że był to wpływ jego węgierskiego pochodzenia ⁶⁾). Wzruszał ramionami, gdy się dowiedział, że nie posiadamy karabinów maszynowych, telefonów, ani dostatecznego wyekwipowania. Obiecał o wszystko się postarać, tymczasem zaś miał nam przykomenderować karabiny maszynowe i artylerię ze swojej węgierskiej dywizji. Zawsze dotąd wspominał ze szczerą wdzięcznością tego generała, którego stosunek był po prostu odetchnięciem od zupełnie nienormalnych stosunków dotychczasowych z Austriakami. Zarówno karabiny maszynowe jak górskie armaty przysłył nazajutrz.

.

Wieczorem tego dnia... zaprosiłem do siebie na kolację pięciu wziętych do niewoli oficerów rosyjskich. Żał mi było, jako żołnierza, rotmistrza, dowodzącego szwadronem. Musiał być porządnym człowiekiem, gdyż żołnierze jego bardzo się cieszyli, że mu się nic

⁶⁾ Wpływ jego węgierskiego pochodzenia. — Władze wojskowe austriackie, choć zasadniczo zgodziły się na utworzenie przy ich boku Legionów, odnosiły się do nich stale z głęboką niechęcią, utrudniając im pracę na każdym kroku i nie szczędząc przykrości i upokorzeń. Celowali w tym szczególnie Niemcy austriaccy i Czesi. Węgrzy lepiej rozumieli nas, bo ich zależność wobec Austrii przypominała w pewnym stopniu naszą zależność od państw zaborczych. W r. 1848/9 wybuchło na Węgrzech powstanie przeciw Austrii, w którym po stronie Węgrów wzięło udział moc Polaków, a niektórzy z nich, jak np. generałowie Dembiński czy Bem, wysunęli się nawet na czołowe stanowiska w armii węgierskiej. Stąd to, jeśli nie z dawniejszych Batorowych czasów, datuje się odwieczna przyjaźń polsko-węgierska.

złego tej nocy nie stało. Był przygnębiony trochę, chociaż starał się tego nie pokazywać po sobie. Miał jakieś polskie nazwisko, chociaż był Rosjaninem, i stał kiedyś dłuższy czas z pułkiem w Królestwie, we Włocławku. Oficerowie jego byli mniej sympatyczni, ot — zwyczajni oficerowie rosyjscy. Sztab mój składał się z samych Królewaków, więc — choć z obrzydliwym akcentem — mówili po rosyjsku. Powoli, gdy pierwsze lody po kilku wódkach stopniały, zacząłem o przykry temat, o nocny wypadek w Chyżówkach. Chciałem znaleźć wytłumaczenie, jak to mogło się stać, że szwadron cały tak od razu dał się opanować i bez strat prawie zagarnąć. Rotmistrz dał mi mniej więcej następujące wyjaśnienie:

Był wysłany jako szwadron wywiadowczy, szedł szosą przez Limanową na Dobrą, tu znalazł drogę zajętą; chcąc ominąć przeszkodę wciągnął się do Chyżówek górską drogą nie przypuszczając, by na niej mógł spotkać kawalerię austriacką, gdyż droga nie była wcale dla jazdy stworzona. Noc była bardzo zimna i ciemna, tym mniej przypuszczał, by go zaskoczono. Wiedział przecie, że ma przed sobą jedynie kawalerię austriacką, o której nie miał dobrej opinii i nie sądził, by się zdobyła na inicjatywę. Gdyby był wiedział, że może spotkać piechotę, byłby ostrożniejszy. Wobec tego, że górskie wsie są rozrzucone, nocował w kilku grupach, które samodzielnie wystawiły po kilka posterunków. W nocy nagle usłyszał strzały, żołnierze zaalarmowani zaczęli strzelać po ciemku nie mając żadnego widocznego celu. I wtedy z kil-

ku stron usłyszał rosyjskie połajanki, wymawiane tak bez zarzutu dobrze, że w tej grupie, gdzie on był, wszyscy osądzili, że to są swoi — Rosjanie. Wobec tego zaprzestano strzelać i nagle spadła na nich nawała, idąca na bagnety. Działo się to tak szybko, że nim się obejrzał, już żołnierze jego się poddali i on sam nie miał nic innego też do zrobienia.

...W tym bieda — dodał poważnie — że pańscy chłopcy zanadto artystycznie klną!

Myślałem, że umrę od wewnętrznego śmiechu, gdy usłyszałem, czemu właściwie zawdzięczam powodzenie! Niesłychany i całkiem nowy pomysł dla taktyki! ⁷⁾).

Najzabawniejszym było jeszcze to, że przy tej całkiem rosyjskiej kolacji jednym z usługujących ordynansów był też Rosjanin — niejaki Chmielow. Był on wzięty przez nas pod Krakowem do niewoli i razem z kilku innymi prosił, by go pozostawiono u nas i nie odsyłano do obozu jeńców, gdzie, jak słyszał, warunki życia są nadzwyczaj ciężkie. U nas zaś strasznie mu się spodobało, bo — jak mówił — takiego generała jeszcze nie widział, który nigdy nie łaje i nie bije, i z którym każdy żołnierz swobodnie, bez obawy mówić może. Sądziłem, że teraz, gdy zobaczy swoich żołnierzy i oficerów, zechce dzielić już dalej losy z nimi. Nie! Poprosił, by go pozostawiono i by przy oficerach z wziętego szwadronu nie mówiono do niego po rosyjsku. Sam zaś przy usługiwaniu starał

⁷⁾ Taktyka — sztuka prowadzenia wojny.

się wplatać parę słów polskich, których się już zdążył nauczyć. Nazajutrz odesłałem jeńców na tyły.

Spomiędzy siedmiu oficerów z szwadronu, wziętego do niewoli, pięciu ujęto, dwóch uciekło. Jednego z nich złapano na trzeci dzień w oryginalnych okolicznościach. Ruszyliśmy już byli naprzód i przeszliśmy Chyżówki, długą górską wiościnę na przełęczy pomiędzy górami Łopień i Mogilnica, spuściliśmy się na dół do Stopnic Królewskich. Tam rano na krzyk jakiejś baby, że jest u niej Moskał, złapano młodego człowieka i przyprowadzono go do mnie. Był to ładny, młody, dwudziestoletni chłopak, o dużych czarnych oczach, miał na sobie cywilne palto i kapelusz, jakąś kurtkę, a obok tego ułańskie spodnie i buty. Przy rewizji znaleziono u niego notatnik z zapisami, świadczącymi o tym, że przez cały czas od nocy w Chyżówkach śledził ruch na szosie i notował każdy oddział. Przy badaniu okazało się, że wdarł się on na górę, gdzie znalazł jakiś szałas i przesiedział tam o głodzie i chłodzie cały dzień robiąc notatki i pilnie śledząc wszystko, co się naokoło działo. Teraz przedzierał się do swoich ze swymi spostrzeżeniami. Zaszedł zaś do chaty, bo był głodny, i dawał trzy ruble babie za posiłek, lecz ta narobiła wrzasku i biedny trafił do niewoli. Podobała mi się ta brawura i to spełnienie obowiązku aż do końca, nawet wtedy, gdy oficerek został sam, i to po ciężkiej porażce swoich. Nie pytałem go więc już o to, skąd wziął ubranie cywilne, i chcąc go uchronić od rozstrzelania jako szpiega, bo przyłapanego w cywilnym odzieniu, kaza-

łem wyszukać u chłopców szynel żołnierski i czapkę, umundurowałem go z powrotem i odesłałem na tyły. Wychodząc dziękował mi za to, dodał jednak: — Ale za to, że mnie pan wziął do niewoli, nie dziękuję, nie! Byłbym na pewno miał order świętego Jerzego!

Ten order pewno otrzymał siódmy oficer szwadronu, jakiś Kaukazczyk, który uciekł i przedarł się do generała Dragomirowa z przykrą wiadomością, że jego wyborowy szwadron został w całości wzięty do niewoli. Po kilku dniach zostało wziętych znowu kilku, tym razem dla odmiany huzarów, z dywizji tegoż generała. Ci opowiadali mi, że Dragomirow, wściekły z powodu wypadku w Chyżówkach, miał powiedzieć: — jeżeli moi oficerowie nie umieją prowadzić szwadronów, to — niestety — ja, komendant dywizji, muszę jeździć na patrolu!

I jakoby istotnie ruszył z pierwszym patrolu ku nieprzyjacielowi.

Żałuję doprawdy, że nie prowadził on właśnie tego huzarskiego patrolu, z którego wzięliśmy jeńców, miałby sposobność przekonać się, czy dowodziłby nim mądrzej niż ten oficer, który przypłacił życiem swą nieostrożność. Było to w kilka dni po wzięciu w Chyżówkach szwadronu ułanów. Zdążyliśmy przez ten czas przetańczyć swego kontredansa: byliśmy pod Limanową, cofnęliśmy się do Jurkowa i znowu miałem pilnować przejść przez góry na południe od szosy Dobra — Limanowa. W Chyżówkach stał powtórnie III batalion, zajmując pół wsi zbliżone do Jurkowa, mając po obu stronach wsi okopy. Chyżówki,

dalej ku przełęczy, i przełęcz sama nie były przez nas zajęte, tylko od czasu do czasu chodziły tam patrole. Przy wyjściu doliny Chyżówek do poprzecznej szerszej doliny, w której leżał Jurków, miałem postawione cztery górskie działa. Pod wieczór żołnierze spostrzegli, że po spadzistej drodze od przełęczy zbliżają się jacyś konni. Był to ów patrol huzarski, prowadzony przez oficera.

Teren tamtejszy, górzysty, z raptownymi spadami, z mnóstwem stromych wąwozów, z górami silnie zalesionymi, nie nadaje się w ogóle dla działania jazdy, teraz zaś jeszcze listopadowa gruda lub gołoledź czyniła działania kawalerii jeszcze trudniejszymi.

Patrol, liczący 7 koni, szedł wprost do Chyżówek, wsi z mnóstwem płotów, drogą wąziutką, ograniczoną zabudowaniami, mającą w dodatku z jednej strony urwisko, po którym poruszać się konno było niepodobieństwem. Była to lekkomyślność szalona — prowadzić tak patrol. Moi chłopcy wpuścili patrol do wsi bez strzału chcąc wziąć wszystkich żywcem. Lecz na nieszczęście patrol naskoczył już we wsi na paru kręcących się tam żołnierzy i spostrzegłszy ich zawrócił konie i zaczął uciekać w górę ku przełęczy. Wówczas dopiero zaczęto strzelać. Konie ubito, huzarów trzech padło, dwóch wzięto jako jeńców; jeden z nich był ranny, dwóch zaledwie uciekło stoczywszy się wprzód do parowu obok wsi. Pomiędzy uciekającymi był i oficer, ranny w nogę.

.

Do plebanii jurkowskiej przyprowadzono mi więtych jeńców na przesłuchanie. Jeden z nich był całkiem zdrów, drugi leżał na wozie, napelnionym słomą, z przestrzeloną piersią. Podoficer, który ich przyprowadził, zameldował mi przy tym:

— Obaj są z Litwy tak jak Obywatel Komendant!

Istotnie! Ten, który wyszedł cało, był chłopem spod Grodna. Na razie przy badaniu próbował żołnierskich sakramentalnych⁸⁾ słów: *točno tak, nikak niet, Wasze Priewoschoditelstwo*. Lecz wkrótce, gdy zaczął mówić z polska po białorusku, stopniała na nim ta powłoka, zaczął mi mówić po swojemu kłaniając się i tytując, jak Pan Bóg kazał na wsi litewskiej: *Panoczku*. Dowiedziałem się od niego, że za przełęczą stoi cały pułk huzarów, na który natychmiast kazałem otworzyć ogień z moich dział.

Na pożegnanie mój rodak dostał herbaty i papierosów i żegnając się już po swojemu: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — dodał:

— *Panoczku! a ten druhi, unteroficyr, znaczy się także hradnieński⁹⁾, ale z obywatelów, nie prosty.*

Wyszedłem przed plebanie. Koło wozu stał doktor, który salutując mi zameldował:

— Ranny w piersi, już opatrzony, gotów do wysłania dalej.

⁸⁾ Sakramentalne — utarte zwyczajowo, stale jednakowo powtarzane. Żołnierzowi rosyjskiemu nie wolno było odpowiedzieć: „tak”. Musiał odpowiedzieć: „istotnie tak”. Nie było odpowiedzi przeczącej „nie”. Żołnierz winien był mówić: „wcale nie”. I t. d.

⁹⁾ hradnieński — grodzieński.

Zbliżyłem się do rannego. Na wozie leżał młody, przystojny chłopiec o kulturalnych rysach twarzy. Twarz trochę kurczyła się od bólu, oddychał ciężko, oczy zaś jego utkwione były we mnie z jakimś pytającym wyrazem.

— Możecie mówić? — spytałem.

— Mogę — odpowiedział — a czy mogę zapytać?

— O co idzie?

— Żołnierze mi mówili, że pan także z Litwy, czy prawda?

— Tak, jestem z Litwy, z Wileńskiego.

— Ja z Grodzieńskiego, nazwisko moje Stetkiewicz; wolno wiedzieć, jak pan się nazywa?

— Piłsudski. Miałem w gimnazjum w Wilnie kolegów Stetkiewiczów.

— Krewni — odrzekł z cicha. Łzy mu się zakręciły w oczach, szarpnął swój płaszcz i zakrył nim twarz całą.

Nie chciałem rozmawiać dalej. Było i mnie strasznie przykro, niedaleki byłem od łez. Odwróciłem się i odszedłem pytając doktora o ranę. Rana nie była lekka, ranny trochę już gorączkował. Kazałem go natychmiast wyprowadzić do szpitala na tyły. Jeszcze przykrzej mi się zrobiło, gdym przejrzał papiery, znalezione przy rannym podoficerze. Był tam list od matki, świeżo otrzymany. List tchnął głęboką miłością matczyną i wielkim niepokojem o syna. Zarazem jednak zawierał parę rzeczy, które dla mnie były zupełną nowością w moich pojęciach o Litwie. Matka pisała, że wie z gazet, iż jest już pod Krakowem, więc

prawdopodobnie dowodzi nim albo generał Ruzski, albo Brusilow, obaj bohaterowie, za których co dzień modli się w kościele za to, że obronili Litwę. Z pasją rzuciłem list na stół. Jeszczem dotąd żadnej dewotki na Litwie nie widział modlącej się za Rosjan! Ale ta młoda twarz mego rodaka, ustrzelonego przez moich żołnierzy, dotąd mi stoi w oczach jak żywe świadectwo ciężaru moralnego, który spadł wraz z wojną na Polskę i Polaków. Przekłęte skutki niewoli! Był to na szczęście jedyny wypadek tak zwanego bratobójstwa, widziany przeze mnie bezpośrednio. Może z tego powodu, a może dlatego, że dotknął mnie osobiście, jako Litwina i nieledwie znajomego ofiary, utkwił mi ten przykry epizod tak żywo w pamięci.

Mieliśmy podczas całej wojny pod tym względem szczęście, że Polaków wśród nieprzyjaciół bezpośrednio przed sobą nie spotykaliśmy wcale.

Znam z opowiadań tylko jeszcze jeden wypadek zetknięcia się naszego z Polakami, ubranymi we wrogie nam mundury. Wypadek nietragiczny tym razem. Gdyśmy maszerowali jeszcze na Dęblin, gdzieś koło Radomia prowadzono kolumnę jeńców rosyjskich. Moi chłopcy stali przy drodze i gapili się na nich czyniąc mniej czy więcej dowcipne uwagi. I nagle z kolumny rozległ się głos do nich:

— Stasiu, smarkaczu jeden, co ty tu robisz?!

Okazało się, że jednym z jeńców był rodzony ojciec mego młodocianego żołnierza.

Poza tym spotykałem Polaków z wojska rosyjskie-

go, ale jako jeńców, najczęściej dobrowolnie oddających się do niewoli...

Generał Nagy dotrzymał słowa. Nazajutrz po jego wizycie u mnie zameldowali się w Jurkowie: porucznik Besermeny z dwoma karabinami maszynowymi, porucznik Meisner z czterema górskimi armatami i wreszcie, jako dodatek, rotmistrz honwedów Ulas ze szwadronem spieszonych — „speszonych“, jak u nas mówiono — huzarów. Było to przykomenderowanie dla mnie i dla całego oddziałku całkiem nowym i nieznanym zjawiskiem. Obce wojsko, oddane do mego rozporządzenia — to się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nie mogę powiedzieć, że mi to nie pochlebiło, choć na razie zrobiło dużo kłopotów. O ile względnie łatwym mi było dowodzić swoim wojskiem, gdzie prawie połowa podwładnych oficerów była moimi uczniami, a całe już wojsko moimi wychowankami wojennymi, których urabiałem według swojej woli i poglądów, o tyle teraz miałem mieć do czynienia, jako z podwładnymi, z oficerami, których urobiła inna szkoła. Uważała ona siebie za wyższą i lepszą i usposabiała swych wychowanków do bardzo krytycznego nastroju względem takich parweniuszów¹⁰⁾ wojskowych, jakimi dla niej byliśmy my wszyscy. W dodatku przyszła konieczność używania obcego języka, którym się źle włada! Postanowiłem być na baczności. Z natury litewskiej będąc podejrzliwym i nieufnym, wietrzyłem tarcia, skargi, chęć pozowania na nauczycieli,

¹⁰⁾ parweniusz — tu człowiek początkujący.

wreszcie, nauczony doświadczeniem w I korpusie, oczekiwałem nietaktownego i niekoleżeńskiego wykorzystywania swych przywilejów. Zdecydowany byłem stanowczo oprzeć się wszystkim próbom tego rodzaju i dlatego od razu bez ceremonii odkomenderowałem karabiny maszynowe pod dowództwo Śmigłego, rotmistrza Ulasa ze „speszonymi“ huzarami pod komendę Bojarskiego zostawiając sobie dowództwo bezpośrednio nad artylerią.

Obawy moje okazały się płonnymi. Trafiłem szczęśliwie na nadzwyczaj przyzwoitych ludzi, z którymi wkrótce ułożyły się stosunki bardzo dobrze. Obaj młodszy oficerowie, Besermeny i Meisner, okazali się bardzo dzielnymi żołnierzami i prędko nauczyli się cenić męstwo i spokój moich żołnierzy, a z oficerami mymi żyć w koleżeńskich stosunkach. Starszy zaś, rotmistrz Ulas, był to tak dobroduszny Węgier, nie wymawiający, z powodu serdecznych wspomnień z czasów 1848 roku, inaczej nazwisk Bema i Dembińskiego jak z wojskowym ukłonem, że Bojarski miał w nim serdecznego przyjaciela.

Z początku, naturalnie, istniała wzajemna nieufność. Zarówno Besermeny jak Meisner po prostu obowiali się, z czego potem już nie robili sekretu, że przy takiej piechocie jeden straci łatwo swe armaty, a drugi karabiny maszynowe. Istotnie doniesiono mi, że w nocy w obu przydzielonych oddziałach konie są posiadłane i większość ludzi na nogach. Gdy się to powtórzyło, rozgniewałem się. Są dwie rzeczy, których na wojnie nie znoszę. Jedno to „nerwy“, drugie

zaś — to wynikające zresztą z tych „nerwów“ nie-
żnośne dla ludzi i koni alarmy i trzymanie oddzia-
łów w ciągłym naprężeniu pogotowia. Napatrzyłem
się tego na wojnie tyle razy. Zawsze przekonywałem
się, że dowódcy, zamiast w niepewnych wypadkach
wziąć na siebie i na swój sztab ciężar pogotowia,
zwalają go po prostu na barki swych podwładnych
najzupełniej bezcelowo. Nawet w poważnych istotnie
chwilach walczyłem ze sobą długo, nim wydusiłem
z siebie rozkaz o zwiększonej ostrożności i zarządze-
niu alarmowego pogotowia.

Zirytowany więc, zwołałem oficerów na odprawę
i poza zwykłymi rozkazami i oceną sytuacji zapowie-
działem, że obowiązkiem oficerów nie jest tylko umie-
jętnie i odważnie prowadzić swych podkomendnych
podczas bitwy, lecz i dbać o to, by ich żołnierze byli
możliwie silni fizycznie i wypoczęci przed bojem. Dla-
tego też zakazuję urządzać jakiegokolwiek pogoto-
wia bez mego rozkazu. Zwróciwszy się zaś do obcych
oficerów dodałem:

— Na noc konie mają być rozsiodłane, ludzie,
oprócz tych, co mają nocną służbę, powinni spać. Ja
odpowiadam za bezpieczeństwo i całość oddziału
i proszę panów być spokojnymi o to, że w razie istot-
nego niebezpieczeństwa będziecie na czas zaalarmo-
wani i uprzedzeni.

Widziałem po ich minach, że byli trochę zdziwie-
ni i zaniepokojeni, nie wypowiedzieli jednak ani sło-
wa i, jak się dowiedziałem nazajutrz, zastosowali się
bez szemrania do rozkazu.

Po tygodniu, gdyśmy już przebyli parę ryzykownych sytuacji, spotkała mnie przyjemna satysfakcja. Jeden z przydzielonych oficerów dziękował mi za admonicję twierdząc, że po raz pierwszy nieledwie na wojnie on, jego ludzie i konie są wypoczęci należycie pomimo odbytej pracy.

— Nauczyłem się — dodał — jak pańscy oficerowie, zrzucać buty na noc i nawet odważam się rozbiierać się spokojnie do snu.

Inny oficer, przykomenderowany do mnie jako oficer łącznikowy, bardzo miły i przyzwoity Węgier, dziękował mi w jeszcze zabawniejszy sposób.

— Od czasu, jak przy panu jestem, ani razu nie dosiadłem konia niepotrzebnie. Doprawdy, to bardzo jest przyjemne!

Nie chcę twierdzić, by i w kampanii limanowskiej nie zdarzały się przykre wypadki niekoleżeńskiego zachowania się wobec nas Austriaków. Owszem, lecz na ogół wytworzyły się przyjazne i poprawne z nimi stosunki, tak że wydawały się one po tym, co się przeżyło w początkach wojny, po prostu rajem. Specjalnie przyzwoitymi byli Węgrzy, którym nigdy ani się śniło widzieć w naszej odrębności organizacyjnej i w innym niż u nich układzie wewnętrznych stosunków jakiego przestępstwa, godnego kary lub tematu dla szykan czy lekceważenia. Węgrzy byli dla mnie przyjemnymi kolegami i dlatego, że mogłem się z nimi porozumieć bardzo łatwo przy ich nadzwyczaj powolnej i wyraźnej wymowie, gdy mówili językiem niemieckim.

Warunki wojny na Podhalu okazały się i pod innym względem nadzwyczaj przyjemne. Mówię tu o stosunkach z ludnością. Nie było tu, jak w Królestwie, gwałtownego i najczęściej daremnego szukania oparcia i zrozumienia wśród ludności cywilnej. Nie trzeba było tu niczego szukać, bo wszystko, czego dusza żołnierza, walczącego dla szczęścia ojczyzny, pragnie, było mu dane. Tu czułem się w ojczyźnie, czułem się potrzebnym dla niej jako jej obrońca. Od góry do dołu — ksiądz, gazda góralski czy jego gaździna, mieszczanin czy robotnik — wszyscy szukali po prostu okazji, aby w czymkolwiek dopomóc lub przynajmniej okazać swą sympatię dla nas. Młodzi chłopcy chodzili na wywiady przed wojskiem. Robiono to za zgodą wsi, która wprost wyznaczała, kto ma iść. Więcej! By chłopak nie mógł skłamać, że był tam, gdzie go posłano, musiał wrócić z pieczęcią gminną, wyciśniętą na portkach, jako namacalne świadectwo swej sprawności. W żadnej chacie czy domu nie odczuło się, że jesteśmy ciężarem, pomimo że przecież wojsko nie należy do najprzyjemniejszych gości.

Zywo pamiętam jeden wypadek w zapadłej górskiej wsi, w której po jednej z nocnych wycieczek szukałem z wojskiem na pewien czas ukrycia. Stałem kwaterą w chacie góralskiej, która, jak zwykle, miała dwie izby. Jedną na zimę — zamkniętą — czystą, drugą codzienną, że tak powiem, gdzie obok ludzi przechowują się cielęta, kury, prosięta i tym podob-

ne pożyteczne lecz brudne i cuchnące stworzenia. Pomimo zimna stanąłem w czystej połowie. Zastanowiła mnie gaździna, wysoka o kształtnych rysach i dziwnie melancholijnych, szarych oczach. Była po prostu niestrudzoną w okazywaniu swej gościnności. Sama przybiegała często proponując to lub owo, potem przysyłała dzieci, które wpadały z ciekawymi buziami, by zapytać raz jeszcze, czy nie trzeba czego, lub by przynieść jeszcze więcej drew do pieca. Byłem strasznie zmęczony po niespanej nocy, więc użyła mnie nawet trochę ta nadzwyczajna gościnność. Gdy dałem wkrótce rozkaz do wymarszu, gaździna płakała rzewnymi łzami patrząc swymi melancholijnymi oczami na odchodzące wojsko. Przypuszczałem, że obawia się ona nadejścia Moskali po naszym wyjściu, i począłem ją uspokajać. Wtedy odpowiedziała mi:

— Biedne wy, wojoki polskie! Tego płaczę!

Nie chciała wziąć ani grosza za gościnę, nawet gdybym chciał to zrobić pod pozorem zostawienia pieniędzy na cukierki dla dzieci. Dotąd za te serdeczne łzy tej Podhalanki czuję szczerą wdzięczność, a do całego Podhala ogromną sympatię za to odczucie ojczyzny, które tam miałem.

Wspomnienia z tego okresu walk są i dlatego wreszcie dla mnie bardzo miłe, że prowadziliśmy tam wojnę bardzo oryginalną, bez całego przepychu techniki nowoczesnej. Tego nie było tam wcale! Nie mieliśmy ani taborów, ani telefonów i dla łączności posługiwa-

liśmy się według starej tradycji adiutantami i ordynansami. A gdy przypominę sobie ówczesne okopy, śmiech mnie bierze. Nie mówię już o przeszkodach z drutu, których wcale nie było, ale same okopy — pożał się, Boże! Po prostu każdy żołnierz wykopywał sobie na prędce jamkę, do której przynosił trochę słomy, i fortyfikacja była gotowa. Najkomiczniejszymi byli w takich okopach kawalerzyści austriaccy w swych czerwonych spodniach, osobiwie na tle śniegu, który w końcu listopada leżał najmniej co drugi dzień. Każdy, kto czytał lub słyszał o pustych i bezbarwnych polach bitew nowoczesnych, uznałby to za blagę, gdyby tych „wojoków” spostrzegł o dobrych parę kilometrów jako czerwone plamy na białym śniegu, leżących pod sznur w równej linii z równymi odstępami w swych płytkich jamkach, z filozoficznym wyrazem twarzy i fajką w gębie.

Z jednej i z drugiej strony w tej górzystej okolicy występowała do boju kawaleria, dumnie jeszcze szukająca szarży i mająca w pogardzie kopanie się, jak kret, w ziemi. Za to było dużo przestrzeni i ruchu. Nie zastygaliśmy na długo w jednym miejscu, codziennie była zmiana sytuacji, zmuszająca myśleć, odgadywać przeciwnika. Wojna była trochę nużąca wobec ciągłych marszów i wstrętnej jesienno-zimowej pogody, która nam drogi zmieniała albo w błoto, albo pokrywała je twardą grudą czy śliską gołoledzią. Chłopcy byli tak poprzieżębiani, że gdym przejeżdżał koło kolumny, wyciągającej się do marszu, sły-

szalem nieustanny, głuchy kaszel. Sam również wypoczynku miałem mało. Mimo to ta wojna w ruchu, z wielkimi przestrzeniami, w górach, z ciągłymi zagadkami i łamigłówkami była przyjemną, bo dawała dużo swobody i samodzielności.

ROZKAZ NA PIERWSZĄ ROCZNICĘ WOJNY

Żołnierze!

Rok temu z garścią małą ludzi, źle uzbrojonych i źle wyposażonych, rozpocząłem wojnę. Cały świat stanął wtedy do boju. Nie chciałem pozwolić, by w czasie, gdy na żywym ciele naszej ojczyzny miano wyrąbać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przy tym brakowało. Nie chciałem dopuścić, by na szalach losów, ważących się nad naszymi głowami, na szalach, na które miecze rzucono, zabrakło szabli polskiej!

Że szabla nasza była małą, że nie była godną wielkiego, 20-milionowego narodu, nie nasza w tym wina. Nie stał za nami naród, nie mający odwagi spojrzeć olbrzymim wypadkom w oczy i oczekujący w biernej „neutralności”¹⁾ jakiejś dla siebie od kogoś „gwarancji”²⁾.

Żołnierze! Poszliście za moim rozkazem bez wahania, bez chwili namysłu, czy los wasz nie będzie

¹⁾ neutralność — trzymanie się na uboczu w jakimś sporze, nie opowiadanie się ani za jedną, ani za drugą ze spierających się stron.

²⁾ gwarancja — zapewnienie.

podobnym do losu tylu poprzedzających nas pokoleń żołnierzy polskich. Poszliście, by stanąć w obrobie jeśli już nie szczęścia ojczyzny, to przynajmniej jej honoru.

Rok minął. Wyrobił się z nas ten typ żołnierza, jakiego nie знаła dotąd Polska. Nie brawura, nie błyskotka żołnierska stanowi najistotniejszą naszą cechę, lecz ten przedziwny spokój i równowaga w pracy bez względu na przeciwności, jakie nas spotykają. Z młodego chłopaka w naszej atmosferze wyrabia się szybko spokojny, równy, stary żołnierz, przygotowany na długą i żmudną pracę, nie spalający się, jak słoma, w pierwszym, drobnym ogniu.

Żołnierze i towarzysze broni! Rok ciężkiej pracy minął. Pracy tak ciężkiej, tylu obstawionej przeszkodami, że gdy się obejrzymy na nią, dziw bierze, że istniejemy, że dawno już rodzime bory nie szemrzą po nas swej pieśni żałobnej, po nas, po polskich żołnierzach z wielkiej wojny 1914—1915 roku.

I teraz po roku wojny, jak w początku, jesteśmy tylko awangardą³⁾ wojenną Polski, a także Jej awangardą moralną z umiejętnością zaryzykowania wszystkim, gdy ryzyko jest konieczne.

Żołnierze! Dziś, po roku wojny i pracy smutno mi, że powinszować wam olbrzymich tryumfów nie mogę, lecz dumny jestem, że dzisiaj z większym spokojem, niż rok temu, mogę do was, jak ongi, zawołać: Chłop-

³⁾ awangarda — straż przednia.

cy! Naprzód! Na śmierć czy na życie, na zwycięstwo
czy na klęskę — idźcie czynem wojennym budzić Pol-
skę do zmartwychwstania!

J. Piłsudski.

Ożarów pod Lubartowem, 5 sierpnia 1915.

ROZKAZ O PORUCZNIKU ŻULIŃSKIM

Żołnierze!

W pamiętny dzień 29 listopada, gdy serce żołnierza polskiego żywiej bije z myślą o chwili, w której dziadowie nasi w Warszawie za broń porwali dla walki o wolność ojczyzny, chcę wrazić wam w pamięć imię kolegi naszego, który godzien jest stanąć obok czczonych przez nas bohaterów przeszłości. Mówię tu o zmarłym przed miesiącem od ciężkiej rany poruczniku Tadeuszu Żulińskim.

W zeszłym roku w październiku wysłałem go do Warszawy, by tam, w zaborze jeszcze wówczas rosyjskim, stanął na czele przygotowań wojennych. Gdy my z bronią w ręku mieliśmy satysfakcję boju otwartego z wrogiem, gdyśmy na odpoczynkach w wesołym kolegów gronie zapominali o troskach, gdy wreszcie nawet śmierć czy ciężka rana spotykała żołnierza wśród wrzawy walki, świstu kul i w otoczeniu przyjacielskim, z nim było inaczej. Tam, w Warszawie, wśród sieci szpiegów i podszeptów słabości, bez wszelkich błyskotek zewnętrznego życia żołnierskiego, mając w perspektywie śmierć samotną w lochu więziennym lub w otoczeniu siepaczy, porucznik Żuliński dłu-

gie miesiące stał na stanowisku, w tej wojnie najtrudniejszym, a więc i najbardziej honorowym, szedł w ślady ojców i dziadów, którzy tajemnie w ciężkich więzach podziemnego spisku gotowali broń przeciw najeźdźcy. Jego to i jego kolegów praca nawiązywała w naszej walce nic tradycji z tą specyficznie ¹⁾ polską wojną, którą toczyli nasi przodkowie, a z ducha której wyrosliśmy i my — nowocześni żołnierze polscy.

Żołnierze! Wzywam was, byście oddali cześć komendantowi oddziału wojsk polskich w Warszawie i w zaborze rosyjskim w roku 1915.

Rozkaz ten przeczytać w kompaniach, szwadronach, bateriach i instytucjach Brygad. W częściach wojsk, nie będących w okopach, po przeczytaniu ostatnich słów komendanta: „Cześć pamięci porucznika Żulińskiego” — szarże salutują. W VI batalionie, gdzie służył w ostatnich czasach porucznik Żuliński, rozkaz przeczytać przed całym batalionem. Kopię rozkazu przesłać rodzinie porucznika Żulińskiego.

Piłsudski, brygadier.

Kołki nad Styrem, 29 listopada 1915.

¹⁾ specyficznie — swoiście.

WYJĄTEK Z PRZEMÓWIENIA NA ZJEŹDZIE LEGIONISTÓW W WILNIE

.

Gdy palec Boży ziemi dotyka, stuletnie dęby ku ziemi gną szyję, a gdy grzmoty i błyskawice po ziemi idą, ptaszyny i ludzie chowają się do schronisk i domów. Gdy palec Boży ziemi dotyka, gdy idzie taka wielka wojna, jaką myśmy przeżyli, to ziemia jęczy i woła, a wyroki gdzieś w niebie wysoko się piszą — dla jednych zatracenie, dla innych odrodzenie. I gdy czasy tak wielkie idą, co świat na inny zmieniają, to proszę panów, czasy te nie są na miarę piersi tchórzyków, piersi łotrzyków. Muszą gdzieś iść czasy odrodzenia.

Moi panowie! Gdyśmy ongiś szli w pole, gdy byliśmy garstką, różniliśmy się od wszystkich żołnierzy dokoła, i niczym innym myśmy się nie różnili, jak że pierś bujnie czuła i śpiewała huczną pieśń odrodzenia naszej ziemi. I gdy teraz, po tylu latach się spotykacie, tę pieśń odrodzenia, którą ongiś śpiewały piersi, dotąd ją czujecie, bo odrodzenie i wiosna to jedno, i gdy wiosna na ziemi idzie, suche badyle

się zielenią, suche wierzby kwitną i zwierzę każde,
i każdy człowiek pierś ma rozszerzoną.

.

Wśród kilku wiosen, któreśmy razem przeżyli, pamiętam jedną, co bojem silnym pod Kostiuchnowką była zakończona. Szła wiosna, wiosna polska. Stałem wtedy na kwaterze w zbudowanym i pozostawionym dla mnie szałasie. Szałas był duży. Szałasem go nazwę, gdyż dach miał papierem, tekturą, słomą pokryty, i cały domek z desek się składał. Dla elegancji wprowadzono nawet szyby. I tych szyb w moim pokoju było kilka. Otwarto wszystkie okna i przez okna wiosna się wdzierała, wiosna poleska, jakaś inna od innych wiosen na świecie. Upojny, silny zapach sosen z upojnym zapachem bagien; bagna poleskie, bagna, siwym mchem pokryte, kwitły i jaśniały wiosną. Upojny las poważnie szumiał dając żywiczne ciepło i żywiczną gorycz, gdzieś kaczory tęsknie nawoływały kaczki, gdzieś na reducie Piłsudskiego strzały brzmiały wrywając się w wonną wiosnę i wiosnę głużyły te strzały. A było w nich coś zniewalającego, mnie śmiercią grożąc.

Wiosna szła na mnie tak, jak na ludzi idzie. Wspominałem wszystkie wiosny, które przeżywałem, jedną za drugą. Wiosna w nerwy mi wchodziła. Maj uroczy, z całym nowym ciepłem i nowym życiem w przyrodę wchodzący. Gdzieś przez okno wdzierał się pogwar, wesołe okrzyki mego sztabu,

który pod wieczór zbierał się do anegdot. Byłem sam w pokoju i zwyczajem swoim namiętnie po pokoju chodziłem. Mierzyłem krokami swą małą chatkę, raz po raz, chwila za chwilą, minuta za minutą, godzina za godziną. Zapominałem się, jak w wiosnie, i pierś chciała głęboko odetchnąć, w przestrzeni głębiej odczuwać wiosnę życia. Wyszedłem. Księżyc srebrzysty kładł swe cienie wesołe i smutne w lesie. Obejrzałem się dokoła i nagle szloch człowieka usłyszałem. Zwróciłem oczy w tamtą stronę. Księżyc błyskał na karabinie mojej warty, warty dowódcy, co na straży swego odcinka stała. Spojrzałem — szary żołnierz, skulony na płocie, płakał. Wstyd mi się zrobiło. Podeszedłem ku niemu zobaczyć i spytać, czemu płacze — może mu pomóc potrafię? Miłe chłopię, oparte piersią na płocie, ręką spoczywało na karabinie i szlochało. Podniosłem jego twarz i ujrzałem: — twarz małego chłopca, dziecinna, stał na warcie i płakał jak dziecko. Łzy mu z oczu się lały, tak jak u dzieci. Twarz młodociana i karabin przy nim. Pierś rozrywał mu szloch tak, jak rozrywa szloch pierś mężczyzny. Pogladziłem go po twarzy i spytałem: „Chłopcze, co ci jest?” Myślałem, może mu w rodzinie ktoś zmarł... „Może urlopu ci trzeba — dam ci urlop”. Przyłgął ustami do mej ręki i szlochał jeszcze silniej. Uspokajałem go jak mogłem. „Komendancie — ryczał chłopiec — ja nie mogę już patrzeć, jak Komendant się męczy i jak pomóc w niczym Komendantowi nie mogę”, i zaczął mówić takie brednie, niesłychane jakieś rzeczy o tym,

jakby się zakradł do Komendanta, jakby chciał mu całą czekoladę rzucić pod nogi, bo Komendant tak ją lubi. Ot, brednie dziecka-żołnierza — nie umiałem go nawet pocieszyć. Cóż zrobić z takim malcem, który płacze na warcie stojąc, na karabinie się opierając, i płacze nad męką Komendanta, chcąc mu coś z siebie ofiarować, coś dać po prostu człowiekowi, co się za nich męczy. Chłopak mi nieznany, z twarzy niewidziany, jako chłopię małe stał zawsze w tylnych szeregach — drągali zawsze naprzód stawiali. Pieścił wodza płacząc nad jego męką.

.

Ostatni fakt miły. Jeden z najmilszych, które przypomnę. Gdym siedział w Magdeburgu, istotnie stał nad głową kat. Nie byłem nigdy pewien życia. Był to jak grób zamknięty. Izolowany byłem bardzo od świata i wtedy właśnie myślałem o miłym, co jak poduszka do trumny z człowiekiem idzie. Jedno z najmilszych, jakie mam i jakie przeżyłem, jest Wilno, jest miasto moje rodzinne. I nieraz tam, w Magdeburgu, o Wilnie myślałem, do Wilna tęskniłem. Miłe miasto. Rzędem biegną mury, pagórki, otoczone zielenią, piezczą mury. Mury tęsknie na pagórki spoglądają. Miłe miasto. Gdy na który z pagórków się wyjdzie, ku niebu przez mgłę oparów błyszczą do góry wieżyce, wieżyczki, na których, gdy dzwony zadzwonią, nie wiadomo czy się skarżą, czy o łaskę proszą, czy tęskny tylko do nieba głos wznoszą. Mi-

łe miasto. Miłe mury, co mnie dzieckiem niegdyś pieściły, co kochać wielkość prawdy uczyły, miłe miasto z tyłu, tyłu przeżyciami. Miasto — symbol¹⁾ naszej wielkiej kultury i państwowej ongiś potęgi. Dynastia Jagiellonów, co nad wieżyczkami Krakowa i wieżami Wilna potężnie niegdyś panowała... Wilno Stefana Batorego, co uniwersytet zakładał i mieczem nowe granice wybijał... Wielcy poeci i wieszczowie, co naród pieścili słowem i w czar zakuwanymi słowami życie narodowi dawali... Nie gdzie indziej jak tu, w tej samej szkole, gdzie ja biegałem, w tych murach, pięknie wołających do Boga, uczyli się jak ja kiedyś, w przeklętej rosyjskiej szkole.

Wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieśczone. Tu pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa mądrości, tu wszystko, czym dziecko i młodzieniec żył w pieszczocie z murami i w pieszczocie z pagórkami. Jedno z najpiękniejszych miast w świecie! I biegłem ku Wilnu pieszczotliwą myślą tworząc sam dla siebie pieściwe pieszczoty dziecka. Jedna z moich książek tam właśnie powstała, w murach Magdeburga. Czar, zakuty we wspomnieniach, urok odrodzenia, rzucony w szale tam niegdyś. Wszystko to razem składało się na marzenie człowieka, co nie wie czy jutro do grobu się nie położy. Minęło lat parę i byłem znowu z wami. I gdym marzył, i myślał o Wilnie, w warszawskim Belwederze zamknięty, myślałem także i o was, i gdym w bój zawołał, by

¹⁾ Symbol — znak.

Wilno zdobyć, was do siebie powołałem; marzyłem, sądziłem, że dwa serca zbratane dadzą mi to, o czym dusza marzyła. Wilno musi być moje! I jak wyście mi na to odpowiedzieli — żywo pamiętam tę chwilę. Wilno w owym czasie, gdy Polska ledwie żyć poczynąła, gdy ze wszystkich stron żądano naszej ziemi, dłonie ku niej wyciągano, gdy bitwy na wszystkich ścianach Rzeczypospolitej i wojna trwała, gdy inne państwa już były spokojne, gdy działa u nas grzmiały, gdy tam spokoju już doznali, Wilno dalekie było od myśli i Wilno dalekie było od zakłopotania serca wszystkich. Wyście stanowili najpewniejszego żołnierza, żołnierza, który mnie nigdy w wojsku nie zawiódł, który dał mi wszystko, co żołnierz wodzowi dać musi. Was powołałem. Szła wielkanocna pora, gdy batalion za batalionem, szwadron za szwadronem do Wilna śpieszyły. I szła pogwarka wśród wiary — Komendant nasz Wilno kocha, na Wielkanoc Wilno w prezencie mu damy... Prezent wspaniały. I gdy myślę, że nie sądząc nawet o ważności Wilna dla nas, jako prezent, jako pieszczota dla serca Komendanta, wieleście mi dali, i gdy pomyślę, że tam gdzieś na Rossie u wrót cmentarzy mogiłka za mogiłką leży, jedna przy drugiej, jak żołnierze w szeregach, ci, co życie dali, by Komendanta serce pieścić, to mówię, że miłym to być musi, i gdy serce swe grobem poję, serce swe tam na Rossie kładę, by wódz spoczął z żołnierzami, co mogli tak pieścić dumnego wodza czoło, co mogli tak życie dawać jedynie dla prezentu. I miłe to musi być wrażenie przeżyć życio-

wych w Legionach, miłe wrażenie i teraz, gdy z wami się żegnam; gdy kończę i kończę w Wilnie, życzę wam, byście dzień dzisiejszy, dzień naszego święta, spędzili istotnie tak, jak było to niegdyś, byście miastu spokój zakłócili, by miasto zadrżało w waszych objęciach tak, jak drżało ongiś, gdyście tu marszem zwycięskim wchodzili...

O WARTOŚCI ŻOŁNIERZA LEGIONÓW

...Z niezwykłą przyjemnością poruszam temat o wartości wojskowej żołnierza Legionów. Przez dziesięć lat będąc najprzód dowódcą oddziałów legionowych, a potem Naczelnym Wodzem Wojsk Polskich, musiałem bardzo często zastanawiać się nad wartością żołnierzy, albowiem każdy dowódca musi w swoim własnym, bezpośrednim interesie odczuwać i mierzyć ciągle wartość swych podwładnych.

.

Legiony były wojskiem. Nosiliśmy bowiem broń stale i broni tej używaliśmy dla zadania strat nieprzyjacielowi, który na odwrót, i nam straty zadawał. Jak dawna jest ludzkość, równie dawne są wojny, równie dawni są żołnierze. Czy kiedykolwiek zabłyśnie przed ludzkością wymarzona idea wiecznego pokoju — tego nie wiem; dotąd mamy za sobą olbrzymią tradycję wojenną i olbrzymią tradycję żołnierską.

Wojska różnią się między sobą zewnętrznymi odznakami, językiem służby, zwyczajami i obyczajami, ujętymi nieraz w regulaminy. Różnice te są następstwem przynależności wojsk do takiego lub innego na-

rodu, do takiego lub innego państwa. Byliśmy woj-
skiem polskim, bośmy się odróżniali zewnętrznymi ce-
chami od wszystkich wojsk, które nas otaczały, boś-
my mieli język raportów i rozkazów Polski, a obyczai-
je i zwyczaje nawet b a r d z o polskie.

.

Sledząc uważnie życie legionowe przychodzi się do
przekonania, że najsilniejszym czynnikiem, najsilniej-
szym motywem duszy, który przy życiu utrzymywał
Legiony i który dał tak wybitne rezultaty, była na-
sza ambicja wewnętrzna. Ambicja ta żarła ludzi, sta-
rających się dowieść swemu otoczeniu i światu, że
sami potrafimy zrobić z nas dobrych żołnierzy.

.

Przytoczę fakty najbardziej charakterystyczne.

.

Przyszedł pierwszy marsz. W myśl rozkazów aust-
riackich władz wojskowych miałem dotrzeć tylko do
małego miasteczka Jędrzejowa. Marsz stukilometro-
wy, rozłożony na 4 do 5 dni, uciążliwy, bo odbywany
pod grozą kontaktu z nieprzyjacielem. Z krótkich
słów, które usłyszałem od wojskowych władz aust-
riackich przy odbieraniu ostatecznych informacji, wy-
wnioskowałem, że władze te do mnie i do moich żoł-
nierzy żadnego zaufania nie mają i że wyznaczając mi
ten Jędrzejów nawet nie wierzą, bym mógł tam do-

trzeć. Dlatego może nie wyznaczono nam żadnego dalszego celu marszu. Co więcej, dalej poza Jędrzejów posunąć się nam nie było wolno. Kielce, najbliższe większe miasto, zostało wyznaczone w planie koncentracyjnym ¹⁾ sztabów państw centralnych jako punkt styczny wojsk niemieckich i austriackich. Nie chciano tam widocznie dopuścić jakiegoś „bałaganu” o charakterze polskim, nie chciano pomiędzy oddziały austriackie i niemieckie wpuszczać do tego styku jakiegoś niewyraźnego elementu ²⁾, jakim niechybnie byliśmy nie tylko dla dowództwa austriackiego, ale i dla wszystkich. Z rozmowy pomiędzy oficerami austriackimi wywnioskowałem, że według ich przekonania dalej poza Jędrzejowem będziemy, mówiąc ich technicznym językiem, *überraunt* ³⁾ przez austriacką kawalerię. Dzięki przekornej naturze legionowej postanowiłem nie dopuścić, by nas wyprzedzono. Natychmiast wydany został rozkaz jak najszybszego marszu, żeby nie dać się prześcignąć kawalerii, ale odwrotnie, aby nasze piesze oddziały kawalerię wyprzedziły... Plan... został w czyn wprowadzony. Strzeleckie oddziały awangardy weszły do Kielc pierwsze i dopiero później zjawiała się awangarda kawalerii w postaci szwadronu dragonów austriackich. Byliśmy w Kielcach pierwsi.

.....

¹⁾ Koncentracyjny — skupiający.

²⁾ element — część składowa; tutaj — ludzie, wojsko

³⁾ *überraunt* — prześcignięci.

Zatrzymuję się na tym pierwszym wystąpieniu Legionów na arenie żołnierskiej nie dlatego, abym sobie miał wywyższać, ale dlatego, że ten pierwszy fakt, którym zaczęliśmy naszą pracę żołnierską, został natychmiast uznany nie przez polskie otoczenie, lecz przez dowództwo austriackie. Nigdy nie zapomnę, jak jeden z oficerów, który z obowiązku służbowego nas obserwował, mówił mi, że w sztabie armii austriackiej nigdy nie przypuszczano, by oddziały nasze okazały się zdolne do takiego marszu. Uważano, iż ten, że tak powiem językiem austriackim, „cywilbagaż“ nie jest zdolny do zrobienia marszu nawet do Miechowa i musi się rozsypać po drodze. Toteż marsz nasz był dla władz austriackich niespodzianką.

Później, gdy w Kielcach stały obok oddziałów naszych i oddziały austriackie, ta sama przekora i chęć ambicji, która mnie wraz z moimi żołnierzami ogarnęła, kazała mi zająć na swą kwaterę pałac gubernatora. Zgodnie ze zwyczajami wojennymi najokazalszy budynek zajmuje na kwaterę ten, kto jest rangą ⁴⁾ najwyższy. W ten sposób siłą faktu, bo wyrzucić mnie z pałacu nie ośmielono się, zdobyłem pozory wyższości. Toteż Austriacy i Niemcy przychodzili do mnie z pokorą uważając widocznie, że skoro mieszkam w pałacu, to tym samym jestem już wyższy. I nie mogę zapomnieć goryczy, jakiej doznałem, gdy przejeżdżając później przez Kielce tłukłem się na przedmieściu, gdy inni ten pałac zajmowali.

⁴⁾ ranga — stopień wojskowy.

Z Kielc trzeba było się wycofać. Wziąłem na siebie rozmyślnie najtrudniejszą pracę żołnierską, pracę ariergardy⁵⁾, pracę osłaniania odwrotu. Jest to najtrudniejsze zadanie, jakie spaść może na żołnierza i dowódcę. To owa przekora i ambicja legionów pchała mnie do tego, aby wziąć na swoje barki najbardziej odpowiedzialną robotę. Przy cofaniu się na Wisłę, podczas przeprawy, stale zatrzymywaliśmy odwrot. Zatrzymywaliśmy ponad miarę zakreślonego czasu. Przeszliśmy przez most w Szczucinie pod grozą, że nam go z tyłu spalą. Rozmyślnie nadużywałem sił młodych żołnierzy dla tego, że szybciej dążyłem do tryumfu braci legionowej, że szybciej dążyłem do uznania naszej własnej, z nas samych powstałej pracy żołnierskiej.

.

Z fortecy krakowskiej nadszedł rozkaz, by zniszczyć wszystkie środki przeprawy przez Wisłę. Na skutek tego rozkazu zaraz z prawa od nas spłonął most w Szczucinie. Stanałem w obronie tych środków przeprawy przez Wisłę, chcąc bowiem przejść rzekę trzeba było mieć możliwość przeprawy. Pamiętam jak w tym właśnie czasie ówczesny porucznik, a dziś pułkownik⁶⁾, Dreszer nie mogąc doczekać się jakiegokolwiek środka przeprawy, rozebrał się wraz z patrolem do naga i z bronią w ręku przeprawił się na drugi

⁵⁾ ariergarda — straż tylna.

⁶⁾ Gustaw Orlicz-Dreszer, generał, już nie żyjący.

brzeg Wisły. Dotąd czyn ten wspominany jest z dumą i dotąd jest on tematem żartów, że Dreszer ma dziwny pociąg do rzeki, że przez każdą rzekę wpław się przeprawia, chociaż ma most obok. I ten mały epizod ⁷⁾ świadczy o tej dziwnej, przekornej naszej chęci wykazania swej wartości żołnierskiej, wartości nieprzeciętnej, zdatnej do czynów nadzwyczajnych. Jeżeli bowiem jako nowatorowie chcieliśmy stwarzać rzeczy nowe, to musieliśmy dawać dowody, że stać nas na większe wysiłki niż normalne.

Powiem tu jeszcze o pierwszym wrażeniu na widok ran, tych rzeczy zwykłych zresztą i codziennych na wojnie. Moi panowie, wśród legionistów rany były rzeczą nieledwie codzienną, ale to pierwsze wrażenie, jakie odnosi się na widok rannych, jest niezmiernie silne, chociażby rany były nawet lekkie. Ta pierwsza krew, te pierwsze cierpienia rannego, pierwsza pomoc, ta chwila, gdy się widzi człowieka okrwawionego i słyszy wokół strzały — ma w sobie coś niezwykłego. Pamiętam, gdy świeżo przybyły batalion przeprawiał się przez Wisłę, spotkałem wracających pierwszych rannych. Panowie, ja w twarzach rannych nie widziałem smutku, nie słyszałem jęku! Widziałem tryumf i dumę, że są żołnierzami polskimi, że krew przelewają i tym swej służby żołnierskiej dowodzą. Pamiętam młodego chłopca, którego drasnęły w głowę trzy kule karabinu maszynowego. Szedł swobodnie, krwią zlany. Gdym go spytał: — Cóż to wam,

⁷⁾ epizod — zdarzenie.

chłopcze? — Odpowiedział wesoło i dumnie: — A w głowę mnie trafiło, głowa mocna, wytrzyma.

.

Legiony stworzyły w Polsce, odrodziły na nowo typ dobrego żołnierza. Ta zdobycz może w przyszłej historii stanowić będzie więcej niż te czy inne przewagi w tych czy innych bojach. Potrafiliśmy swoim wysiłkiem, swoim sercem, swoją wielką pracą i wolą dać Polsce nowy kulturalny nabytek — dać typ dobrego żołnierza polskiego. Powstawał jakby z mogiły dawny typ żołnierza powstańca, przymierającego głodem czasem, wędrującego borem, lasem, po ziemi ojczyściej. Zapomniane, odpędzane, nieraz upiorne widmo lat ubiegłych na przekór światu, na przekór swoim, żyło, żyć pragnęło życie dając Polsce.

DEPEZA ISKROWA NOTYFIKUJĄCA ¹⁾ POWSTANIE PAŃSTWA POLSKIEGO ²⁾

Do P. Prezydenta Stanów Zjednoczonych,
Do Królewskiego Rządu Angielskiego,
Do Rządu Rzeczypospolitej Francuskiej,
Do Królewskiego Rządu Włoskiego,
Do Cesarskiego Rządu Japońskiego,
Do Rządu Rzeczypospolitej Niemieckiej i do Rządów wszystkich Państw wojujących i neutralnych.

Jako Wódz Naczelny Armii Polskiej, pragnę notyfikować rządowi i narodowi wojującym i neutralnym istnienie Państwa Polskiego Niepodległego, obejmującego wszystkie ziemie zjednoczonej Polski.

Sytuacja polityczna w Polsce i jarzmo okupacji nie

¹⁾ Notyfikujący — zawiadamiający uroczyście. (Wyrażenie, używane w dokumentach dyplomatycznych).

²⁾ Depesza, tutaj przytoczona, wysłana drogą radiową, była, pierwszym aktem Państwa Polskiego w stosunku do państw obcych.

Istnieje zwyczaj, że ważne dokumenty państwowe są podpisywane przez Głowę państwa i ministra, który tymi sprawami się zajmuje. Ponieważ w dniu wysłania depeszy nie było jeszcze właściwie żadnego rządu, Piłsudski polecił podpisać ją Tytusowi Filipowiczowi, najstarszemu urzędnikowi ministerstwa spraw zewnętrznych (zagranicznych).

pozwoili dotychczas narodowi polskiemu wypowiedzie si swobodnie o swym losie. Dzi ki zmianom, kt re nast pi y wskutek świetnych zwyciestw armii sprzymierzonych — wznowienie niepodległości i suwerenności Polski staje si odtąd faktem dokonany.

Państwo Polskie powstaje z woli całego narodu i opiera si na podstawach demokratycznych. Rząd Polski zastąpi panowanie przemocy, która przez sto czterdzieci lat ciążyla nad losami Polski — przez ustrój, zbudowany na porządku i sprawiedliwości. Opierając si na Armii Polskiej pod moją komendą, mam nadzieję, że odtąd żadna armia obca nie wkroczy do Polski, nim nie wyrazimy w tej sprawie formalnej woli naszej. Jestem przekonany, że potężne demokracje Zachodu udzielą swej pomocy i braterskiego poparcia Polskiej Rzeczypospolitej Odrodzonej i Niepodległej.

Wódz Naczelny
Piłsudski

Za Ministra Spraw Zewnętrznych
Filipowicz

Warszawa, dn. 16 listopada 1918 r.

OBRONA POLSKI

1919—1920

*Idą teraz godziny za godzinami,
zwycięstwo za nami, przed
nami szerokie życie.*

WALKI O LIDĘ I WILNO ¹⁾

...Wreszcie wszystko ruszyło.

.

Na moście żegnam idącą kawalerię. Moją było rzeczą dodać im ducha, zaświadczyć, że jestem z nimi ciągle duchowo obecny, że wraz z nimi biorę udział w każdej chwili akcji. Przyjemnie mi było zaznać, że moja obecność dodawała ducha żołnierzom... każdy szwoleżer mię czuł przy sobie.

Jedna kompania wyrwała się naprzód, wpadła w zasadzkę i zaczęła się cofać w trwodze. Pułkownik Mackiewicz zatrzymał ją i uporządkował, ja się tym nie zajmowałem, bo nie wolno dowódcy za dużo dowodzić. Każdy musi mieć część swobody rządzenia, żądam od ludzi duszy, niech ona ma swe prawa...

¹⁾ W ciągu pierwszych miesięcy bytu odrodzonej Rzeczypospolitej, o przedwiośniu 1919 roku, pełno było jeszcze walk na granicach Państwa. Walki toczą się wzdłuż całej granicy wschodniej, na południu z Ukraińcami o Lwów, na północy z Rosjanami o Wilno. Po drodze do Wilna leży Lida, mocno broniona przez Bolszewików. Tu i ówdzie grasują jeszcze oddziały Niemców, przez Litwę wracających do swej ojczyzny, grabiących i niszczących po drodze to wszystko, co jeszcze do zniszczenia pozostało.

Wracamy do Skrzybowiec i czekamy. Czekać jest losem żołnierza, a często i dowódcy; słyszeć strzały, gwar bitwy, dusza się wyrывa, a tu stać trzeba, nerwy się szarpia i siły słabną. Dowódca musi umieć czekać i trwać w wesołości, i szerzyć ją koło siebie, inaczej owina mu się koło serca żmije niepewności i trwogi i innych też ugryzą.

Czekamy... nagle niespodzianka — pociąg pancerny брони Lidy i praży piekielnym ogniem niedoświadczonego rekruta, który niemniej idzie dzielnie do ataku, ale się wreszcie cofa pod ogniem. Wtem wybuch! Pancernik rozbita, zapaliły się prochy od naszych pocisków, zmyka z trupami, poszarpana. Więc Lida wnet będzie moja. Cichnie głos armat... godzina, dwie upływają, nadlatuje autem Kasprzycki: „Cofamy się, Lida nie wzięta!” Prędej auto, prędej bataliony Śmigłego, dopiero co przybyłe! Pcham je z pułkownikiem Biernackim na Lidę, lecę sam. Dojeżdżam do bateryj. Czemu milczą? Czemu? Amunicji nie ma! Posłać do Skrzybowiec, a tymczasem sam was poprowadzę, tę jedną baterię, która jeszcze ma czym strzelać. Niechętna, strwożona bateria musi iść za mną... Owionął mnie nagle znany, dawno słyszany gwizd, śpiew kul, kule śpiewają śpiew śmierci... Myśl leci nagle ku dawnym legionowym wspomnieniom. Chłopcy moi, w dalekich grobach leżący, oto wasze marzenia się spełniły! Wasz Komendant jest wodzem Polski, bądźcie z nim, niech duch wasz towarzyszy moim żołnierzom! Dajcie mi Wilno na święto Wielkiej Nocy! Bataliony nadchodzą, walka się wznawia, na noc

przerwa, niech odpoczną Suwałczanie; Lida otoczona, o świetle będzie, musi być wzięta!

Nadchodzą mi raporty o ruchach mych wojsk wo-koło.

.

Śmigły melduje rozpaczliwe wieści o stanie swej nieszczęsnej piechoty, która brnie w błoto, nie ma kontaktu z taborami, ludzie nie mają co jeść, tabory grzęzną, konie padają ze zmęczenia i z głodu, iść nie mogą.

Od Baranowicz idzie ostry bój, trudności, od Grodna wieść, że Niemcy tam grabią i pobili się z naszymi posterunkami... Z Mińska podwożą siły pod Brześć, pod Baranowiczami też walka się wzmacnia... Pod Słonimem bardzo niebezpieczna sytuacja, przygotowania do ataku.

.

Lida 16. wieczorem jeszcze nie wzięta i broni się zajądło.

To był pierwszy dzień, gdy nieprzyjaciół mię zatrzymał; dałem obrazki tych wszystkich wrażeń i uczuć, towarzyszących pracy dowódcy. A te same przecie prawa rządzą i duszą podwładnego, który otrzymawszy rozkaz musi potem sam dalej tworzyć i męczyć się tym.

.

Lida padła 17. i od tej chwili wszystko stało się łatwym i szybkim — co prędzej pociąg do Wilna. Tor

zepsuty, ale się naprawia, musimy się związać wieścią z wojskami pod Wilnem, co tam się dzieje? Telefony cały dzień, nic nie możemy osiągnąć... druty zepsute.

.

Dnia 19 kwietnia jestem w Lidzie — wszystko w porządku; tor naprawiony, łączniki utrzymane, robota sprawdzona. Obiaduję właśnie u Suwalczan, święcących swe zwycięstwa, aż wpada ostatkiem tchu oficer od Beliny: Wilno wzięte! Wilno, ukochane miasto, jest moje!

.

Wyruszam do Wilna w wagonie, rozbrzmiewającym radością.

PISMO DO HARCERZY

Harcerze!

Już w latach niewoli przygotowywaliście się do służby ojczyźnie. Uwierzywszy w tę sprawę, że tylko silny i zdrowy, przygotowany odpowiednio naród zdolny jest podjąć zwycięsko zbrojną walkę o niepodległość, poczęliście z całym entuzjazmem młodości zaprawiać swe ciała do trudów życia obozowego, ćwiczyć się w rzemiośle wojennym, a dusze swe młode nastrajać na wysoki ton moralny ofiarnej gotowości do czynu.

Toteż, gdy huragan wojny światowej deptać począł niwy polskie i przyjść miało do dziejowego porachunku za lata krzywd i niewoli, wyście w pierwszym stanęli szeregu tych, którzy odważyli się sięgnąć po zaszczytne miano żołnierzy niepodległości. Łzami matek i ojców żegnani, lub częściej bez ich wiedzy i zezwolenia rzucając dom rodzicielski, szliście w szeregi polskich oddziałów na trud wojenny, przerastający wielokroć wasze siły, na rany i śmierć, na górną radość zmierzenia się z wrogiem w otwartym polu.

Nie sprzeniewierzyliście się i potem nakazom harcerskiego prawa, gdy zmartwychwstała ojczyzna pod

broń swych obywateli dla obrony granic wołała. W walkach o kresy wschodnie Małopolski czy ziemię litewską, w walkach zeszłorocznych z przemożnym chwilowo wrogiem braliście czynny i chwalebny udział. Rozrzućeni po oddziałach regularnej armii lub zgromadzeni w odrębne jednostki w służbie wywiadowczej, kurierskiej i frontowej, zdaliście raz jeszcze egzamin ze swej dojrzałości obywatelskiej i gotowości do ofiar, zawsze świecąc swym starszym towarzyszom broni przykładem wysokiego pojmowania swych ochotniczo na się wziętych obowiązków.

Oddając cześć poległym za Ojczyznę kolegom waszym wyrażam wam, harcerze, podziękę i uznanie za dotychczasową służbę.

Naczelny Wódz

Józef Piłsudski

Pierwszy Marszałek Polski

ROZKAZ W ROCZNICĘ WYMARSZU KOMPANII KADROWEJ

Żołnierze!

Po upadku Polski każde pokolenie zrywało się do walki o utracony byt niepodległy, każde pokolenie słało na pole bitwy żołnierza, jako przedstawiciela siły Ojczyzny, by krwią serdeczną wpisywał w księgę dziejów: „Jeszcze nie zginęła!”

Ulegali pod przemocą, szli jak wierni żołnierze na śmierć, zaludniali mroźny Sybir lub ginęli w tułaczce po szerokim świecie.

Po ostatniej klęsce 1863 roku zaległa nad Polską noc czarna niewoli, noc beznadziejna. Zdawało się, że już nowe pokolenia nie odważą się stanąć do walki, że zaborcy tryumfowali na zawsze. Imię Polski zostało wymazane z pamięci świata, a naród siedł na poniewierkę jak każdy niewolnik.

I stanęło przed Polską w dzień wybuchu wojny światowej wielkie zagadnienie. Brat musiał iść na brata, syn miał strzelać do ojca, gdyż wojna pomiędzy zaborcami słała setki tysięcy Polaków, by walczyli przeciw sobie nie za własne istnienie, lecz dla dobra swych panów i zaborców.

W tym ciężkim momencie, w najswobodniejszej części Polski, w Krakowie, stanęła do boju garść młodzieży, robotników i chłopów, by w rozpacznej chwili próbować walczyć nie pod obcym, lecz pod własnym, polskim sztandarem, by umierać na polu bitwy nie jako żołnierz spod obcego znaku, lecz jako żołnierz polski.

Było to w dniu 6 sierpnia, gdy sformowana w ten sposób drużyna pod moją komendą stanęła pod bronią jako pierwsza kompania kadrowa przyszłych wojsk polskich.

Były to nowe narodziny żołnierza polskiego.

W ciężkich przejściach, podczas cierniowej drogi na polach bitew, w więzieniach i obozach jeńców obchodzono tę rocznicę jako święto żołnierskie. Dziś, gdy po raz pierwszy w wolnej i zjednoczonej Ojczyźnie nadchodzi dzień 6 sierpnia, słę wam wszystkim, jako najstarszy żołnierz obecnego pokolenia i Wódz Naczelny wojsk polskich, swe pozdrowienie.

Czy w samotnym patrolu, czy w okopie strzeleckim, czy przy ćwiczeniach w garnizonie dnia tego wspomnijcie wszystkich tych naszych poprzedników, co zginęli na polach bitew lub na poniewierce wygnań i tułaczek światowych. A zarazem niech pierś wasza wzbierze dumą, żeście już nie niewolniki obcych, lecz swobodni obywatele wolnej Ojczyzny, wezwani do obrony Jej życia przed wszelkimi zakusami jakichkolwiek wrogów.

Żołnierze! Krew waszych przodków pisała w dzie-

jach smutne „nie zginęła!“. Wy, szczęśliwsi, krwią
swą piszecie „żyje“! I zginąć nie może!

Rozkaz przeczytać we wszystkich oddziałach wojsk
polskich.

Wódz Naczelny

Józef Piłsudski

Warszawa, dnia 31 lipca 1919.

ROZKAZ NA ZAKOŃCZENIE WOJNY ¹⁾

Żołnierze!

Dwa długie lata, pierwsze istnienia wolnej Polski, spędziście w ciężkiej pracy i krwawym znoju. Kończycie wojnę wspaniałymi zwycięstwami, i nieprzyjaciel, złamany przez was, zgodził się wreszcie na podpisanie pierwszych i głównych zasad upragnionego pokoju.

Żołnierze! Nie na próżno i nie na marne poszedł wasz trud. Polska nowoczesna zawdzięcza swe istnienie wspaniałym zwycięstwom mocarstw zachodnich nad państwami rozbiorczymi. Lecz od razu, od pierwszej chwili życia swobodnej Polski, wyciągnęło się ku niej mnóstwo pożądliwych rąk, skierowało się mnóstwo wysiłków, by ją utrzymać w stanie bezsiły, by jeśli już istnieje, była ona igraszką w ręku innych, biernym polem dla intryg całego świata.

¹⁾ Dnia 12 października 1920 r. podpisane zostały w Rydze pierwsze zasady pokoju między Polską a Rosją Sowiecką. Równocześnie zawarty został układ o zawieszenie broni. Dnia 18 października o godzinie 24 nastąpiło wstrzymanie działań wojennych.

W tym dniu wydał Piłsudski niżej przytoczony rozkaz, w którym podniósł, jak wielką i ofiarną pracę wykonała Armia dla Polski, i żądał od wojska, by ono trwało nadal w gotowości obrony, dopóki pokój nie zostanie ostatecznie zawarty.

Naród polski porwał się do broni, zrobił olbrzymi wysiłek tworząc liczną i silną armię.

Na barki moje, jako Naczelnego Wodza, w ręce wasze, jako obrońców Ojczyzny, złożył naród ciężkie zadanie zabezpieczenia bytu Polski, zdobycia dla niej szacunku i znaczenia na świecie i dania jej pełni niezależnego rozporządzania się swoim losem.

Zadanie nasze dobiega końca. Nie było ono łatwym. Polska, zniszczona przez wojnę, nie z jej woli na ziemiach polskich prowadzoną, była biedna. Nieraz, żołnierze, łzy cisnęły mi się do oczu, gdym widział wśród szeregów wojsk, prowadzonych przez mnie, wasze bose, pokaleczone stopy, które już przemierzyły niezmierne przestrzenie, gdym widział brudne łachmany, pokrywające wasze ciało, gdym musiał obrywać wasze skromne racje żołnierskie i żądać często, byście o głodzie i chłodzie szli do krwawego boju. Praca była ciężka, a że była rzetelna, zaświadcza o tym tysiące mogił i krzyżów żołnierskich, rozsianych po ziemiach dawnej Rzeczypospolitej od dalekiego Dniepru do rodzimej Wisły.

Za pracę i wytrwałość, za ofiarę i krew, za odwagę i śmiałość dziękuję wam, żołnierze, w imieniu całego narodu i Ojczyzny naszej.

Pokój nie jest jeszcze zawarty w formie skończonej. Żołnierz polski ma go czekać z bronią u nogi, cierpliwie i spokojnie, gotowy w każdej chwili stanąć w obronie owoców swego zwycięstwa, gdyby nieprzyjaciół miał się cofnąć przed ostatecznym jego utrwaleniem.

Tej cierpliwości i spokoju wymagam od was stanowczo.

Żołnierz, który tyle zrobił dla Polski, nie zostanie bez nagrody. Wdzięczna Ojczyzna nie zapomni o nim. Zdobyte zostały ogromne obszary, opustoszone i obrócone przez wojnę światową prawie w pustynię.

Zaproponowałem już rządowi, by część zdobytej ziemi została własnością tych, co ją polską zrobili uznaiwszy ją polską krwią i trudem niezmiernym. Ziemia ta, strudzona siewem krwawym wojny, czeka na siew pokoju, czeka na tych, co miecz na lemiesz zamieniają, a chciałbym, byście w tej pracy przyszłej tyleż zwycięstw pokojowych odnieśli, ileście ich mieli w pracy bojowej ¹⁾).

Żołnierze! Zrobiliście Polskę mocną, pewną siebie i swobodną. Możecie być dumni i zadowoleni ze spełnienia swego obowiązku. Kraj, co w dwa lata potrafi wytworzyć takiego żołnierza, jakim wy jesteście, może spokojnie patrzeć w przyszłość.

Dziękuję wam raz jeszcze!

Rozkaz przeczytać we wszystkich kompaniach, szwadronach, bateriach i instytucjach armii polskiej.

Józef Piłsudski

Pierwszy Marszałek Polski i Naczelny Wódz

¹⁾ Mowa o wszczętej później akcji dawania osad uczestnikom wojen polskich.

Z PRZESZŁOŚCI

(1863)

*Z mogił, z grobów 1863 r. ży-
wy cień powstaje, cień wielkości
epoki, cień Rządu Narodowego...*



W roku 1863 istniał taki symbol, który silnie, ba — nieraz wszechwładnie panował nad ludźmi. Była nim pieczęć — pieczęć Rządu Narodowego.

Widywałem ją w różnych muzeach — kawałeczek bibułki z drobnym pismem, a u spodu pieczęć. To był symbol siły. Cóż robiła pieczęć, co robili ludzie, stojący za tą pieczęcią?

Dla charakterystyki pracy pieczętarki i ludzi, strzegących jej powagi i znaczenia w narodzie, przytoczę przede wszystkim parę wspomnień o stanie prac przygotowawczych przed wybuchem powstania. Jeden z wielkich, Miłkowski (Jeź), jeszcze przed wybuchem powstania przyjechał konspiracyjnie¹⁾ do Warszawy i był zdumiony potęgą organizacji. Cała poczta konna, którą jechał a która zastępowała wówczas nie istniejące prawie koleje, była w rękach Organizacji²⁾. „Urzędnik naszego Rządu jedzie, konie zaprzęgać, niech inni czekają”. „Nasz Rząd jedzie!” Trąbka

¹⁾ Konspiracyjnie — tajnie.

²⁾ Organizacja — Władze powstańcze.

pocztyliona gra i w lesie wpada w tony mazurka Dąbrowskiego. Cała poczta pracuje, pracuje dla swego Rządu, gdy oficjalnie istnieje inny, z którym ma się toczyć walka zbrojna. Stary mój przyjaciel, Szwarce, opowiadał mi chwilę swego aresztowania przed powstaniem. Miał przy sobie papiery rządowe, czuł, że za chwilę będzie wzięty, i cóż zrobił z papierami? Skoczył do pierwszego lepszego sklepiku, rzucił je na ladę i krzyknął: „Papiery Komitetu Centralnego, papiery Rządu!“... Jak wielką musiała być już wtedy spoistość społeczeństwa, jak silną chęć dobrowolnego poddania się przymusowi moralnemu ³⁾, gdy mogły przewyciężyć przymus materialny, nieledwie cielesny, ciążący tak silnie wtedy na wszystkich Polakach.

Spójrzmy teraz jak wygląda praca pieczęci i jej ludzi w okresie najwyższej jej potęgi.

.

Całe życie bacznie jest regulowane, często w drobnych, codziennych sprawach. Wyczuwa się to, co się robi. Czyni to widzialną i namacalną ręką rządu dla wszystkich mieszkańców kraju, pomimo tego, że Rząd Narodowy jest bezimienny, pomimo że panuje inny rząd, rząd przemocy i najazdu, pomimo że wojna się

³⁾ Przymus moralny — siła wewnętrzna, działająca w człowieku, płynąca z jego przekonań, z jego niezłomnego przeświadczenia, że tak jak czyni, czyni dobrze. Nakaz ten bywa czasem silniejszy od najtęższej pomocy zewnętrznej, której się wtedy zwycięsko opiera.

toczy w kraju, wojna z całą surowością swoich praw
względem ludzi i ich życia. Żywo w pamięci mi stoi
organizacja łączności i opieki nad formującymi się
w powiecie siłami zbrojnymi Polski. W każdej stajni
dworskiej stoi osiodłany dyżurny koń, obok dyżurny
chłopak stajenny. Biegnie wieść ostrzegająca, alarmo-
wa — skądś wyruszyło wojsko rosyjskie. Chłopiec
dosiada żrebca i pędzi na przełaj borami, polami do
następnej wyznaczonej stacji, wieść wyprzedza ruchy
konnicy nieprzyjacielskiej, dopada do wyznaczone-
go celu z ostrzeżeniem.

.

Czytam jakiś pamiętnik z Łęczyckiego. Opowiada
jakiś oficer, instruktor, który tam oddział zbierał
i ćwiczył jakby pokój panował dokoła. Kurier przy-
biega z ostrzeżeniem — wysłane jest na nich wojsko.
Chowają więc broń i stają do pracy przy żniwie, by
wrócić zaraz potem do pracy żołnierza, do ćwiczeń.
Ileż szalonej spoistości woli u takich ludzi, ile wza-
jemnej pomocy! Ile szalonych wysiłków ducha trzeba
było dla dokonania bodaj małej rzeczy! Co czyni ta
spoistość?...

Oficer rosyjski, zarządzający powiatem, został
przeniesiony na inne miejsce, wyjeżdża z rodziną.
Chce rodzinie zapewnić bezpieczeństwo w podróży po
kraju, gdzie wojna się toczy, chce legalnie⁴⁾ w tym

⁴⁾ Legalnie — zgodnie z prawem. Tutaj autor ma na myśli
powstańcze, polskie, nie rosyjskie prawo.

kraju przebywać. Czego szuka? Szuka przepustki rządu innego, nakaz jego własny nie wystarcza, jest inny rząd, nasz, polski, ten go ochroni.

Biorę na świadectwo naszego nieprzyjaciela, Berga, jego *Zapiski o powstaniu*. Co tam znajdujemy? Opis jednej ze scen może służyć jako pouczenie w teraźniejszych czasach. Przyjeżdża świeżo mianowany urzędnik rosyjski do Warszawy. Staje w hotelu, puka ktoś do drzwi. Nakaz płatniczy zapłacenia podatków. Od kogo? W czym imieniu? W imieniu rządu polskiego. I urzędnik moskiewski płaci podatek rządowi tajnemu, rządowi pieczęci.

Idziemy dalej. Gdzieś w zapadłym Sandomierzu jest sobie taki wariat, oficer rosyjski, zakochany w koniu. Koń to jego życie. Nagle konia mu kradną, nie ma konia. Życie biednego człowieka zatrute, zabrakło mu przyjaciela, zabrakło mu życia... Szuka, rozsyła patrole. Rząd przemocy⁵⁾ ofiarowuje mu swoją pomoc. Konia jak nie ma, tak nie ma. Oficer rozpacza, odchodzi od zmysłów. Mądry izraelita radzi mu: „Pan nie tam szuka, pan potrzebujesz szukać u rządu! — „U jakiego rządu“ — „Nie u tego, jest inny, oni znajdą, jak się Pan do nich zwróci“. I oficer zwraca się przez Żyda, płaci podatek, opłaca stempel podania i po trzech dniach koń zostaje mu zwrócony.

Policja narodowa wciska się do biur moskiewskich, śledzi więzienia, otacza opieką prace Rządu Narodowego, prace tajne. Ileż niezapomnianych klechd⁶⁾,

⁵⁾ Rząd przemocy — rząd rosyjski.

⁶⁾ Klechda — starożytna opowieść.

ileż niezapomnianych legend wówczas powstało, na które po latach trzydziestu stale się natykałem w mej pracy wśród robotników warszawskich.

.

Rok 1863 dał wielkość nieznana, wielkość... cudu pracy, ogromu siły zbiorowej, siły zbiorowej wysiłków woli, siły moralnej...

.

Wielkość naszego narodu w wielkiej epoce 1863 roku istniała, a polegała ona na jedynym może w dziejach naszych rządzie, który, nieznany z imienia, był tak szanowany i tak słuchany, że zazdrość wzbudzać może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów.

ROZKAZ W ROCZNICĘ POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Żołnierze!

Pięćdziesiąt lat temu ojcowie nasi rozpoczęli walkę o niepodległość Ojczyzny. Szli nie w lśniących mundurach, lecz w łachmanach i boso, nie w przepychu techniki, lecz z strzelbami myśliwskimi i kosami na armaty i karabiny. Prowadzili wojnę rok cały pozostając, jako żołnierze, niedoścignionym ideałem zapалу, ofiarności i trwania w nierównej walce, w warunkach fizycznych jak najcięższych.

Przeegrali wojnę i po ich klęsce niewola wciskać się poczęła do dusz polskich czyniąc z Polaków nie niewolników z musu, lecz nieledwie z własnej chęci, szukających poprawy losu przez protekcję u swych panów rozbiorców i w ogóle obcych. Jako żołnierze i obrońcy Ojczyzny, zostali w Polsce usunięci przez swych współczesnych gdzieś w kąt daleki, jako rzecz, o której zapomnieć należy.

Dla nas, żołnierzy wolnej Polski, powstańcy 1863 roku są i pozostaną ostatnimi żołnierzami Polski, walczącej o swą swobodę, pozostaną wzorem wielu cnót żołnierskich, które naśladować będziemy.

Dla uczczenia ich i upamiętnienia 1863 roku, w szeregach armii polskiej wydałem rozkaz zaliczenia do szeregów wojska wszystkich weteranów 1863 roku z prawem noszenia munduru wojsk polskich w dni uroczyste. Witam ich tym rozkazem jako naszych Ojców i Kolegów.

Rozkaz przeczytać przed frontem kompanij, szwadronów, baterij i zakładów.

Wódz Naczelny

Józef Piłsudski

Belweder, dn. 21 stycznia 1919 r.

DZIECIOM

PRZEMÓWIENIE PRZEZ RADIO

(Bajka o żabie)

(11 listopada 1926 r.)

Siedzą przy mnie dwa dzieciaki, dzieciaki miłe, i proszą o bajkę. Dlatego też powiem paniom i panom bajkę dla dzieci i dla dorosłych. „Tyle szczęścia, co jest we śnie, tyle prawdy, co jest w pieśni“. Tak pan jakiś pisał, z panów jeden taki był co pisał a my, co czytamy, niekiedy mu wierzymy, a niekiedy nie. Ale za to dziś prawdę powtarzam, „bo są czary i są dziwy, byle ktoś tam był szczęśliwy“.

Razu pewnego zobaczyłem gromadkę dzieci, schyłąną i skurczoną nad jakimś przedmiotem. Patrzyłem zdumiony, co na brudnym, śmietnistym podwórzu one widzieć mogły, i dojrzałem małą żabkę. Żabka w błocie utytłana, zabrudzona, w piachu wywalana, skakała niezgrabnie na długich nogach i wyłupiastymi oczkami łyskała na dzieci. Zapytałem dzieciaka — na co wy tu patrzycie? Na to mi jeden chłopak odpowiedział, że przecież była taka żabka na świecie, co — on sam o tym czytał — na śmietniku skakała, a na-

gle przez czary i dziwy wyjechała złocista karetą — ogromna karetą, w sześć rumaków wielkich zaprzężona. Sześciu wielkich hajduków pod uzdy rumaków trzyma, a z karety wysiadają panie strojne nad wyraz! Panie pudła z karety wyjmują i, o czary! i o dziwy! — z żabki robi się nagle cud dziewica, cud dziewczyna! o przepięknych oczkach i liczku. Tylko łachmanami przedartymi się chroni, zziębnięte ciało gołe przez dziury świeci i oczy ma cudne, i piękne liczka. Z żaby zatyłtanej, w błocie uwalanej, tak piękna dziewczyna wyskoczyła z karety, a panie strojne nad wyraz niosą koszulkę białą, koszulkę cienką — jedwab najlepszy. Za koszulką idą pantaloniki, falbanki strojne, piękne ładne falbaneczki, a gorsecik, co jej na piersi zawiązują, taki jest barwny, taki ładny — sznurki jedwabne.

Dziewczyna sama sobie się przypatruje i dziwi się. A suknia, w którą ją przybierają, w białe perełki, różę, przeszita złotem, srebrem świeci. Piękna dziewczyna patrzy na nóżki. A na nóżki idą już pończoszki śnieżnobiałe i ciepłe, a tak ładne, że nóżki, czerwone od chłodu, w biały marmur się zamieniają, by pięknie przeświecać przez śliczne pończoszki. Ale co tam pończoszki. Kiedy wreszcie przynoszą pantofelki nad białość białe, nad puchy miększe, cieniutkie i jej na małe nóżki chłodne wdziewają! Żabę brudną, na dziewczynę cudną przez czary zmienioną, wsadzają do karety i jedzie ona na białe, na wielkie pałace i sale. W pałacach i salach posadzki świecą jak lustra i w lustrze takim dziewczyna cudnej swej pięk-

ności się przygląda, a złe dziewczęta, z zazdrości zżółkłe, gwarzą i szepczą o niej jako o złej i przewrotnej dziewczusce. A panie złe i macochy złe rzeczy do ucha sobie szepczą. Są więc czary i dziwy, kiedy dziewczę jest szczęśliwe. Powiadają, że bajek na świecie nie ma...

Tak mi chłopak mówił i czekał, żeby z żabki cud dziewczica wyskoczyła i karoca na śmietnisko zjechała. Sam nie wiem czy to bajki prawdziwe, ale że są czary i dziwy, kiedy ktoś jest bardzo szczęśliwy, to jest prawdą. To ja sam na własne uszy słyszałem, na własne oczy widziałem, własnymi palcami dotykałem takich czarów i dziwów, że doprawdy aż opowiadać strach. Prawdą, że może nikt z nas miłego dzieciaka nie widział, któryby nagle, po lesie biegając, poziomki zbierając, zobaczył las z pierników i pierniki, jak gałązki obłamując, do ust wkładał. A któż dziecko widział, które nagle skacząc na jednej nóżce w ogrodzie zaczarowanym się znalazło i widziało na gałęziach czar-ptaki, wesoło szczebioczące i wesoło pomiędzy sobą mówiące? A któż miłą dziewczuszkę widział, która w ogrodzie zaczarowanym się znalazła? Tutaj widziała, jak grucha sama jej do buzi idzie, by sok z niej wyssała, a rumiane jabłuszka do kieszonki spadały jej same z gałęzi. Ja zaś wierzę, że taka dziewczuska gdzieś istnieje, że takie chłopaki żabki ładne oglądają, gdy w cud dziewczice się zmieniają, bo są czary i dziwy, kiedy dziewczę jest szczęśliwe, bo są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Ja własnymi uszami słyszałem, palcami dotykałem i widzia-

łem czar nad czary, cud nad cudy i o tym wam opowiem.

Był kiedyś listopadowy dzień, jasny, kiedyś roczków niewiele, a działały się wtedy czary i działały się dziwy. Na drodze błotnistej, błotem wszędzie zawalanej, ciągnie szary, krótki i niedługi — wąż szary chłopaków i chłopców.

Tak samo, jak ta żabka niezgrabna, skacząc szli, zmęczeni, przytupując niekiedy zmarzniętymi nóżkami, po drodze błotnistej, szarej i wilgotnej. Biedne chłopaki, biedni chłopcy! Przytuleni do siebie, drżeli z zimna, oczki ich były niewyspane, po nocy ciężkiej i ciężkich dniach wielu. Nogi zmoczone w trzewikach podartych, w błocie utyłanych, szli tuląc się często do ziemi, by choć na chwilę przykucnąć i przez chwilę odpocząć. Szli, ciągnęli w dzień 11 listopada, hen! gdzieś pod mury Krakowa. Na czele ich jechał chłopak inny, jechał na młodej kasztance z łysą głową. Kasztanka, córa pól i łąnów, zalotnie szła w miasto, skąd przyszli biedne chłopaki, w błocie utyłani, w łachmany odziani, skąd przyszli chłopcy, co na grzbietach kubraki zawieszane, zapaskudzone insektami¹⁾, w koszulach brudnych, jak ziemia sama, szli do miasta. Jakaż przeszli oni ciężką dolę! Szli noc całą tak, że śmierć im wszędzie w oczy zaglądała. Szli przez bramy śmierci, przez wrota jej ciasne i duszne, szły biedne chłopaki czując śmierć za sobą.

A prowadził ich chłopak inny idąc z nimi po błocie

¹⁾ insekty — robactwo.

w wąwozach ciemnych przez lasy ciemniejsze od ciemności. A gdy księżyc zza chmury na nich wyglądał, wydawało się tylko, że to blask kosy śmierci w oczy im błyska. A nieprzyjaciół, co na nich czyhali śmierć im niosąc, było bez liku, było bardzo wielu. Szli biedni chłopcy i biedne chłopaki, do ziemi przyciśnięci, brudni i zawszeni, podarci i obdarci jak żebraki, szli tęskniąc do murów Krakowa, gdzie o schronieniu tylko i o spoczynku marzyli. Biedni chłopcy, biedne chłopaki, tak jak owa żabka, po brzegach śmietniska niezgrabnie skakali. A na czele ich jechał chłopak inny, jechał na ładnej, wiejskiej klaczy, co w złocie słońca złotym włosem lśniła. Klacz szła zalotnie do miasta i kiwa im na wszystkie strony. Lecz miasto złym okiem wiejską klacz spotkało. Gdy wchodziła już w pierwsze domy miasta, z góry pędziło straszdyło — auto, hucząc i sycząc, łomocąc bruki miejskie puste i próżne tak, jak puste i próżne główki bywają i łomoczą, i krzyczą swą prostotą.

I klacz wiejska na zadzie przysiadła, nogami brykała. Prychać nozdrzami ze strachu zaczęła, a ów chłopak uspokajał ją głaskaniem i batem, i zaczął mówić jej o czarach i o dziwach. „Poczekaj, kasztanko, nie tutaj będziesz, w stolicę wejdiesz, w bruki jej kopytami zadzwonisz, lud mnogi patrzeć na cię będzie. Na twoją szyję ładną i na twój złoty włos!... Nie bój się, kasztanko!... Próżny strach twój tutaj!“. ...I nie wiem, i wam nie powiem dlaczego to tak było, lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Czy to na wieżach Mariackich, koroną zdobnych, są czarow-

ne słowa czy hejnały²⁾), co godziny liczą, może w dźwiękach zaczarowane mają, czy w wielkim dzwonie Zygmunta, co na Polskę sercem bije, jest siła czarowna, czy w podziemiach Wawelu króle, śpiący snem wiecznym, czary w ustach mają, czy w trumnie Kościuszki, czy w wielkiej trumnie Mickiewicza głosy w spiżę czarów biją, nie wiem i nie powiem. Lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy!,,,

Więc minęło roczków niewiele, latek niedużo, dzień goni dzień, nocnockę prześciga, przyszedł znowu listopada dzień 11 — patrzy znowu kasztanka ta sama, łysym łbem kiwa, a świat zaczarowany przed jej oczami się przesuw. W stolicy bruki pod kopytami jej dzwonią i wszystko zupełnie inaczej wygląda. Czar nad czary i dziw nad dziwy! Kasztanka idzie, łbem łysym kiwa i wciąż się dziwi, gdzie chłopiec szary i brudny, gdzie pan mój zawszony? I łbem kiwnąwszy sięga do swego pana. Ten sam — ten samiuteńki, lecz cóż się z nim dzieje? Patrzcie, jaki zmieniony! Na piersi gwiazd tyle, ile państw liczy świat. Na piersi wstęga³⁾), co kolorem nieba i żałoby o zwycięstwach mówi w wielkiej wojnie i do niebios o zwycięstwie krzyczy. Grzmia bębny warkotem okrutnym. Grzmia trąby mosiężne krzykiem wołając żołnierzy. Idzie lud zbrojny, idzie

²⁾ hejnał — stary średniowieczny obyczaj większych miast — trąbienia z wieży kościelnej lub ratuszowej w określonych porach dnia i nocy pobudek i pieśni kościelnych.

³⁾ Na piersi wstęga — order *Virtuti Militari*, dosłownie: „cnoście żołnierskiej”, najwyższe w Polsce odznaczenie wojskowe. Wstęga ma kolory błękitny i czarny.

twarda w zbrojach piechota, hełmy na nich stalowe, świecą lufy żelazne, idą krokiem twardym, miarowym, idą po zwycięstwo. Za nimi, w spiż zamknięte, ciężko i twardo idą armaty. Wśród ognia szły konie prężąc ciała, wielkich armat ciężkie koła bruki przebijają, aż szyby się trzęsą. Za nimi malowane ułany nad ułany. Jedni idą konni, drudzy spieszeni, a trąby mosiężne i warkot bębnow, fanfar odgłosy o zwycięstwie mówią. Świat cały jest zaczarowany! Kasztanka łbem kiwa i wciąż się dziwi, bo są czary, bo są dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Świat zaczarowany, przemiany ogromne, skąd idą? Dokąd płyną? Czy z bajek i czarów? Czy z czego innego?

Panie i panowie, którzy mnie słuchacie, pozwólcie, bym skończył, bo czas już upływa, bym skończył życzeniem na dzień 11 listopada przyszłego roku. Nie wiem, panie i panowie, jak powita nas 11 listopada w przyszłym roku. Może nam szyby deseniemi szronu przesłoni i śniegiem przyprószy dachy i ulice miasta. Wiemy, że gdy przy wskrzeszeniu ciał i duszy odrodzenie się odbywa, ciepłem od zimna się schronimy. Może listopad przywita nas wichurą, wiem wiatru, co w szyby dzwoni i w kominach jęczy, co o śmierci mówi i o strachach krzyczy. — Wiem, że wskrzeszenie ciał z odrodzeniem duszy siłą i piękno w jedno razem zwije. Wichry złamiemy i tarczę ochronną przeciw wiatrowi znajdziemy. I nie wiem, panowie, być może w wilgotny dzień jesienny, z chłodem przenikliwym wilgoci dzień 11 listopada nam

rzuci. I wtedy też z wskrzeszeniem ciał, z duszy odrodzeniem ciepło wewnętrzne znajdziemy, co wilgoć i zarazę zdusi. A może uśmiechnie się tak, jak uśmiechało się w czarownym dniu 11 listopada 1918 roku? I słońko jesienne lica przygrzeje, i wiatr łagodny twarz chłodzić będzie, i wtedy z duszy odrodzeniem znajdziemy wspólny uśmiech szczęścia z bytowania z duszą wielką i odrodzoną. Życzę paniom tego i panom, i miłym dzieciom. Do widzenia państwu.

SPIS RZECZY

	Str.
I. LEGIONY	5
1. Przemówienie 3.VIII.1914 r.	7
2. Ułina Mała (wyjątki)	8
3. Nowy Korczyn — Opatowiec	21
4. Limanowa — Marcinkowice	25
5. Rozkaz z 5.VIII.1915 r.	48
6. Rozkaz o poruczniku Żulińskim 29.XI.1915 r.	51
7. Wyjątek z przemówienia na Zjeździe Legionistów w Wilnie	53
8. O wartości żołnierza Legionów (wyjątki)	60
9. Depesza iskrowa	67
II. OBRONA POLSKI, 1919 — 1920 R.	69
1. Walki o Lidę i Wilno	71
2. Pismo do harcerzy	75
3. Rozkaz w rocznicę wymarszu kadrowej 31.VII.1919 r.	77
4. Rozkaz na zakończenie wojny	80
III. Z PRZESZŁOŚCI, 1863 R.	83
1. Rok 1863 (wyjątki z odczytu)	85
2. Rozkaz w rocznicę powstania styczniowego 21.I.1919 r.	90
IV. DZIECIOM	93
Przemówienie przez radio dn. 11 listopada 1926 r. (bajka o żabie)	95

WYDAWNICTWA GEBETHNERA I WOLFFA

<i>Horoszkiewicz R.</i> W trzecim powstaniu śląskim. (Polska i świat wsp. N. 45)	Zł 1.—
<i>Kaden-Bandrowski J.</i> Droga wolności. (Polska i świat wsp. N. 43)	„ 1.—
<i>Lipiński W.</i> Wielki Marszałek.	brosz. „ 4.—
	kart. „ 6.—
	opr. „ 7.—
— <i>Wojna Polska rok 1919—1920</i> (Polska i świat wsp. N. 2)	„ 1.—
<i>Małaczewski E.</i> Dzieje Bałki Murmańskiej. (Bibl. Uniw. Lud. N. 225)	„—50
— <i>Na dalekiej północy.</i> (Polska i świat wsp. N. 10)	„ 1.—
— <i>Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica.</i> (Bibl. Uniw. Lud. N. 223).	„—60
<i>Piłsudski J.</i> Ułina Mała. (Polska i świat wsp. N. 35)	„ 1.50
<i>Pomarański St. Dr.</i> Józef Piłsudski. (Bibl. Uniw. Lud. N. 48.)	„—90
— <i>Z historycznych dni lipca i sierpnia 1914 r.</i> (Polska i świat wsp. N. 44)	„ 1.10
<i>Rómmel J. Gen.</i> Kawaleria polska w roku 1920. (Polska i świat wsp. N. 14)	„ 1.10
— <i>Wspomnienia z bojów kawalerii</i> (Polska i świat wsp. N. 12).	„ 1.10
<i>Stawoj-Składkowski F. Gen.</i> Gdzie widziałem Komendanta nim Polskę wywalczył. (Polska i świat wsp. N. 1).	„ 1.—
— <i>Meldunki u Komendanta.</i> (Polska i świat N. 40)	„ 1.—

